STRONA CZYTANA

NUMER 12/2022

Redakcja:
Piotr Borkowicz, Agnieszka Budnik,
Kamil Galus, Patrycja Sikora, Natalka Suszczyńska

Korekta: zespół redakcyjny

Oprawa graficzna: Krzysztof Schodowski
Logo: Jakub Pszoniak

Spis treści

POEZJA ... 4
Balas ... 5
Dalasiński ... 9
Juskowiak ... 13
Michałowski ... 15
Osowiecka ... 20
Usaczuk ... 24
Wiersze nagrodzone w Turnieju Jednego Wiersza (1 października 2022) ... 28
Balas ... 29
Oryl ... 31
Borkowska ... 34
PROZA ... 36
Gorzka ... 37
Kwintkiewicz ... 41
Poniatowska ... 49
Toboła ... 53
Woydyło ... 57
KRYTYKA ... 67
Budnik ... 68
Meller ... 71
ROZMOWY NA STRONIE ... 82
Bonus od redakcji: Czynne podsumowanie 2022 roku ... 83
STRONA WOLNA ... 86
Piwek ... 87
Tomaszewski ... 92

POEZJA

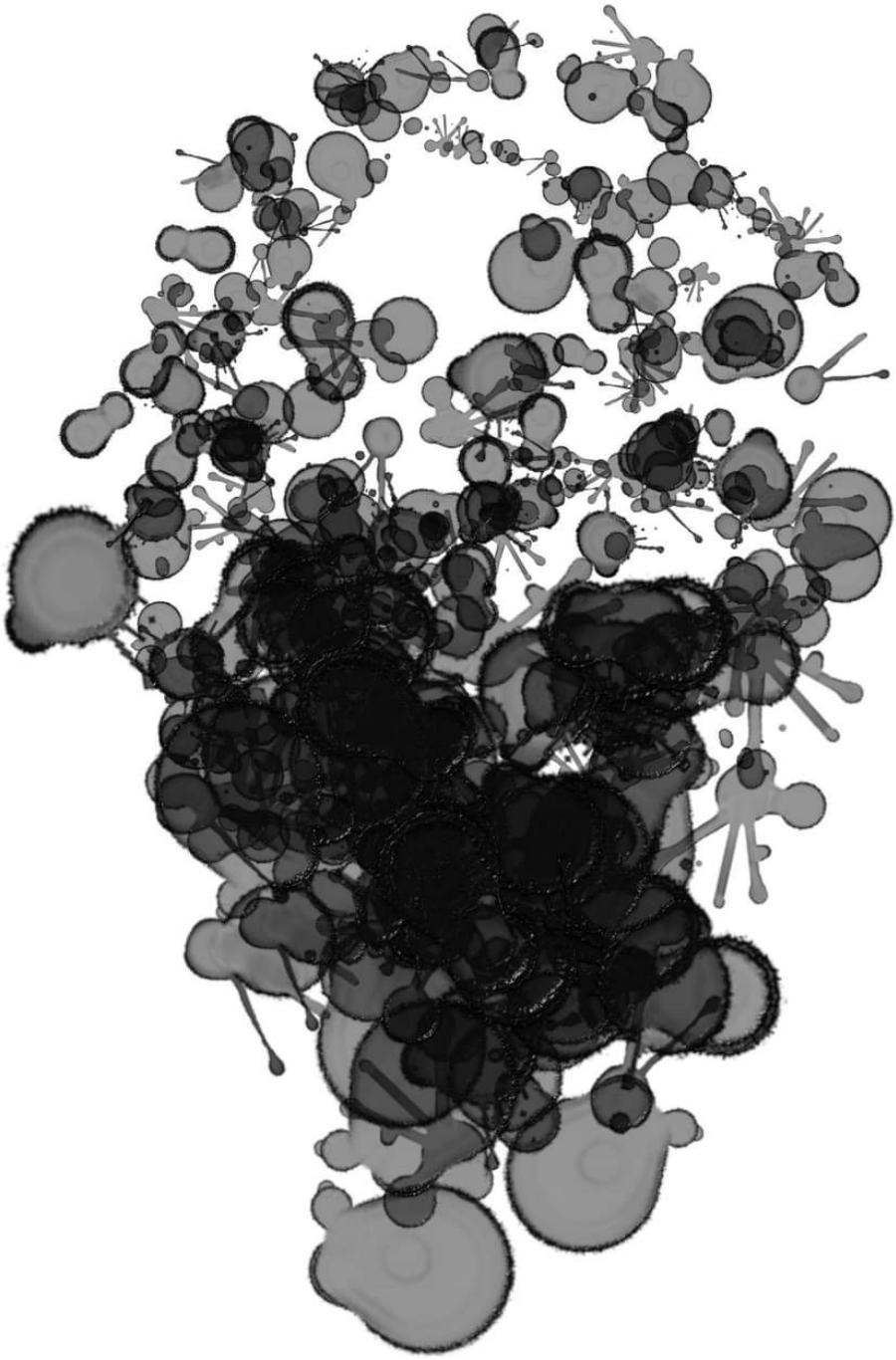

Joanna Balas

Poetka mieszkająca w Gdańsku. Z wykształcenia biotechnolog, z zamiłowania *birdwatcher* i włóczypis.

host not found

ktoś się interesuje
komuś zależy
mówi numerek

ktoś musiał się wychylić nieostrożnie z drabiny
posprzątał tu
i ciekawią go upodobania lokatorów

rozczulają mnie numerowane ptasie budki
te latarnie morskie na Oceanie Obojętnym

wiecie mówię ptakom nasze domki też mają numery
ale czasem okazuje się

że od dawna nikt do nich nie zaglądał
a w środku zalęgły się insekty

range has been extended

nagły upał jakby nadprzyrodzona siła
rzuciła maj w sam środek lipca

dwa wojskowe helikoptery
nie widziałam takich nigdy wcześniej
widocznie zmienia nam się klimat

alt + real

młode ptaki mają tendencję
do wpadania w okna

niektóre otrząsają się i odlatują
inne
wpadają bezpowrotnie w bezdech
który wydawał się powietrzem

nesting inavailable

to była burza
decyzja na wysokości frontów atmosferycznych

wszystko co pachniało bezpieczeństwem
leży pomieszane na ziemi
ciężko odróżnić połamane gałązki od kostek

będą jeszcze inne gniazda
i inne spokojniejsze nieba ale już nie dla nich

ich domem jest teraz leśna ściółka
gdzie bez pośpiechu będą się stawały ziemią
zdmuchnięte w intencji pokoju

ctrl + escape

mój jesteś złotko
kanarku ptaszyno

że niebo za oknem?
nieba przeminą
jesteśmy tylko ty
i ja
jak mi się zachce

a jak nie
to ci pozwolę odejść
w klatce

Tomasz Dalasiński

Urodzony w 1986 roku. Poeta, pisarz. Autor książek z wierszami © (2016) i *Większe* (2018; nominacja do nagrody im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz”) oraz książek prozatorskich *Nieopowiadania* (2016) i *Przystanek kosmos i 29 innych pieśni o rzeczach i ludziach* (2022). Mieszka w Brzozówce niedaleko Torunia.

Bluza

Tniemy z ojcem na opał rozbiórkowe drewno.
Zęby krajzegi są ostre i szumią złowieszczo.
To tylko mgnienie oka, chwila nieuwagi:
piła zahacza o mankiet ojcowej koszuli
i zamiast kawałka deski wciąga jego rękę,
rżnąc od przegubu dłoni prawie aż do łokcia.

Doskakuję do niego. Ściągam z siebie bluzę
od dresów z emblematem igrzysk dziewięć sześć
i ściskam nią krwawiącą, poszarpaną ranę,
która, tak wtedy myślę, wygląda jak świeże,
nieobrobione mięso krowy albo świni.
„Tylko nie gadaj matce, zaraz się zagoi" –

mówi ojciec, samemu w to chyba nie wierząc,
i zdrową ręką sięga do kieszeni spodni,
by wyciągnąć z niej sporta i paczkę zapałek.
Pomagam mu odpalić. Patrzę, jak się zaciąga
i wypuszcza dym nosem, chwiejąc się na nogach.
Przez bluzę coraz mocniej przesącza się krew.

Przykre, tak wtedy myślę: to już się nie
spierze, i chyba nigdy więcej
nie włożę tej bluzy.

Dni, lata

Kiedyś, w czasach nadzwyczaj szczenięcych, poskarżyłem się
nauczycielowi historii, stareńkiemu jak świat Edmundowi,
że dni w szkole są dla mnie stanowczo zbyt długie. Odpowiedział mi:

„Wprawdzie dni są długie, ale lata krótkie". „Co ty
bredzisz, człowieku", pomyślałem wtedy, a potem

zadzwonił dzwonek
i nagle mam prawie trzydzieści sześć lat.

Wśród jeszcze żyjących

„Bardzo mi się nie podoba
pańska agresywna, nachalna obecność
wśród jeszcze żyjących, panie Dalasiński” – powiedział

do mnie, chociaż w innych słowach, pewien człowiek,
któremu zalazłem za skórę. „Mnie w sumie
trochę też” – odpowiedziałem, kłamiąc
albo nie.

Olga Juskowiak

Absolwentka poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zajmuje się projektowaniem graficznym, komunikacją wizualną, rysunkiem i poezją. Mieszka w Poznaniu.

Pamiętasz tę sąsiadkę z naprzeciwka?

Spotykaliśmy ją na schodach.
Nazywała się Nowacka.

teraz nazywa się Sosna Nowacka

To też jest jakiś pomysł.

hi siri

w niedzielę siri obiecała mi
że jeśli
znajdzie to swędzące miejsce
do którego nie można się dodrapać

zabierze mnie ze sobą

Gleb Michałowski

Entuzjasta slamów, nowak i antropolog kultury. Praca magisterska wygrała nagrodę im. Zofii Sokoliewicz. Ma publikację w „Mamałydzę warszawskiej”.

mińsk

w wielkim mieście jest dużo kłopotów
będzie dzień i ja się obudzę
lecz nie zechce mi się więcej wstawać z łóżka
nie zechce mi się więcej mówić gubić się jeść i myśleć
będę czysty będę leżeć jak ciężki kamień na dnie zimnej rzeki
już teraz odczuwam jak ten dzień się zbliża
i się modlę cichutko
ogrzej mnie ogrzej
moje drogie słońce
na pozór miasto kamienne

bez policji

Policja doprowadziła do szału wszystkich, którzy kiedykolwiek użyli tego słowa w znaczeniu „instytucja", a nie w znaczeniu „wróg".
Jeśli potrzebujecie przykładów, googlujcie internet
Jeśli nie potrzebujecie przykładów o jezu o jezu
O policji dowiadujemy się tylko z doniesień o czyjejś śmierci, bądź po zatrzymaniu członków naszej rodziny i bliskich. Z zasady, kiedy słyszymy „policja", zaczynamy niecierpliwie poszukiwać okna, do którego możemy się rzucić, by rozładować gniew który nas nagle ogarnął.
Wszyscy, którzy kiedykolwiek powiedzieli na głos słowo „policja", są martwi bądź przynajmniej raz śnili, że są martwi.
Wszyscy na świecie jednakowo usilnie wołają „policja!", ale po co? Jeśli zadzwonicie po policję, to oni przyjadą, powiedzą „dzień dobry Państwu", pobiją Was i wsadzą do więzienia. Jeśli mi nie wierzycie, uwierzcie swoim licznym przyjaciołom w więzieniach (na przykład XXX, YYY, ACAB, 1213, jebać psy, itd.)
Mary Douglas pisze o policji jako o „ludziach nie na swoim miejscu", innymi słowy – śmieciach. Nie jest trudno uwierzyć w taką teorię, zważywszy na to, że wszystkie przykazania biblijne, według niej, mają zapobiegać powstawaniu policji i takowych placówek. W raju policji nie będzie, to jest udowodniony fakt naukowy. Na podstawie tego faktu powstała większa część znanych teorii naukowych i astrologia. My wszyscy jesteśmy tak zmęczeni, być może to przeznaczenie!
Owszem, ludzie to nie anioły, ale to poniekąd wciąż jest o policji. Grzech pierworodny jest niczym założenie pierwszego na świecie departamentu policji. We wszystkich sakralnych pismach o anulowaniu policji mówi się jako o Ziemi Obiecanej/Szambale/Numinozum/Misterium Tremendum/Ekstazie spontanicznej... Żaden Mesjasz nie pojawi się na Ziemi po raz drugi, dopóki nie wyczyścimy „policja" z naszych uszu. Oświecenie w buddyzmie to nic innego, jak „bez policji". Jeśli możecie zrozumieć „bez policji", to już jesteście ocaleni, a Waszym dzieciom nie grozi więzienie za post na Facebooku.
We wszystkich normalnych podręcznikach mówi się o gardzeniu policją jako o podstawowym warunku stanowienia „homo politicus''. Policji nienawidzili: Konfucjusz, Kartezjusz, Hegel, Paracels, Tokugawa, Cezaria Baudoin de Courtenay Ehrenkreutz-Jędrzewiczowa, Kopernik, Wirginia Wolf, O'Genri, Ruth Benedict, John Lock, Rabindranat Tagor, Frida Khalo i Steve Curtz.

Margaret Mead uważała, że z policji można robić bekę, ale się myliła. Derek Freeman obalił jej słowa w swojej ogromnej książce *Policję się pierdoli na poważnie*.

W całym świecie: w niebie, w morzu i na ziemi – całokształt życia dowolnie wybranej istoty sprowadza się ku totalnej wojnie z policją, nieważne czy uświadamiacie to sobie czy nie. Walczymy z policją co dzień i co noc, we śnie i na jawie. Jeśli z jakiegoś powodu nie jesteś tym zajęta/zajęty, to jest to zjawisko dosyć żenujące i żałosne.
Myślę, że jeśli chcemy dzisiaj pozostać ludźmi – powinniśmy szczać na policję, albo udawać, że zamierzamy szczać na nią jutro. Alternatywa obecnie nie istnieje. A nawet gdyby istniała, to by uschła z powodu własnej bezużyteczności i byłaby brutalnie pobita przez samą policję za nieudzielenie informacji bez obecności prawnika.
Obwiniamy policję o wszystkie nieszczęścia, ale też słusznie. Miłość, zdrowie, dobrobyt – wszystko to są ideały nieosiągalne w świecie, gdzie policja wciąż wykonuje swoją robotę.
„Mama mia!" – wrzaśnie osoba, którą zatrzymała policja podczas lunchu.
Slavoj Žižek i Jordan Peterson w swojej debacie pogodzili się na nutce „jebać policję". Nawet na szkoleniu z etycznego pickupu w Instytucie Pozytywnej Seksualności pierwsze, co Wam powiedzą, to „jebać psy". I na tym, nawiasem mówiąc, polegają podstawy coachingu oraz szkielet teoretyczny terapii egzystencjalnej. Irwin Jalom i Tony Robbins zaśpiewają razem „weźcie swoją policję i wyrzućcie natychmiast do kompostu drodzy".
Tego nie da się udowodnić, ale są to fakty.

ai

Bawiłem się w generację tekstu przez AI.
Na zapytanie „wiersz wybitnego serbskiego poety” wygenerowało się to:

Nigdy nie wybaczymy cię Panie za to żeś nas zniszczył
Nigdy nie wybaczymy cię Panie za to żeś nas zniszczył
Nigdy nie wybaczymy cię Panie za to żeś nas zniszczył
Nigdy nie wybaczymy cię Panie za to żeś nas zniszczył

Co o tym myślicie?

Małgorzata Osowiecka

(ur. 1990) psycholożka, wykładowczyni, sopocianka. Laureatka Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „debiutJana", którego pokłosiem będzie jej debiutancka książka z wierszami. Publikowała w „Odrze", „Blizie", „Akancie", „Wizjach", „Helikopterze", „Malkontentach", „Drobiazgach", „Niecodzienniku Towarzyskim", „Stronie Czynnej", „Tlenie Literackim", „Stonerze Polskim", teksty publicystyczne w „Polityce" oraz „Newsweeku". W 2021 roku nominowana do Nagrody Głównej w konkursie im. Jacka Bierezina. W 2022 roku finalistka projektu Pierwsza książka wierszem Biura Literackiego.

Przepowiednia

czerwiec wchodzi w trzciankowski blichtr
gdzie inteligentne audice śledzą szosę
i wypite są nawet owady
poranki to zawsze czesanie trawy i zboża a pod paznokciami
niebieska wolność wyboru jagody ile jeszcze
będą ostatnim sukcesem po szosie jadą
ludzie z twarzami krów zamiast ich ust megafony
świnie płaczą najgłośniej gdy są znakowane
wtedy jeden z nas zrozumiał opatrzył się
jagodami i odszedł a kolejni tulili wioskę przed drogą
i pluli linieli metalem wtedy w chlewie stygł ostatni
jego łańcuch przykryło siano

Going postal

coś się skrada i nigdy nie było większe
króliki są za głośno by myśleć
farmerka bierze scyzoryk do obrzezania
kolby rozbierają kukurydzę piątą godzinę
ich palce w kolcach wiecznych kaktusów bolą
jeden z nich wziął nóż i tańczy ze skalpem
to ciężka praca mówią do siebie
podobno do studni wrzuca się papierosy i grzechy
zachodzące słońce oświetla czerwone dłonie
ślina z osoczem użyźniają pola
zwycięzcy czekają na świt
przecierając karki krowom

Mocarz

ludzie się tłoczą przed bramą do wszystkiego
poczciwe lunaparki mają brudne brzuchy
dźwig patrzy nam w twarze i bucha żarem
skaczę do góry dnem nic o tym nie wiesz
odpalasz się sztucznym ogniem
wata cukrowa zatyka ci oczy
tu chodzi tylko o jedno
ryzykuję
więc?

Felicja Usaczuk

zam. w Suchoręczku w województwie kujawsko-pomorskim. Publikowała w „Stonerze Polskim”. Kociara.

Przeszłość

Żelazny pręt, którym można uderzać w głowę aż do wyłysienia.
Stary gwóźdź w desce, gwarancja tężca, tak mówiła mama. Wdepniesz w niego albo nie.
Koci pazur, któremu pozwalasz się wbijać w nogę na znak przywiązania i miłości.
Jesteśmy jednym stadem, mruczysz.

Chrapami świszcze

Chodzenie środkiem pustej asfaltówki ze strachu, że w każdej bramie stoi ktoś, kto na ciebie czyha,
jest tak samo racjonalne jak mycie zębów, spanie bez majtek i jedzenie pięciu warzyw dziennie –
zwykła prewencja.

Genezą autodestrukcji jest niechęć do własnej niewinności. Prawdziwym samookaleczeniem byłoby słuchanie, jak nazywasz mnie: podlotką, maleństwem, harcereczką. Spuszczanie wzroku
w milczeniu. Zabawa.

I żeby już opróżnić tę puszkę magi, zjeść to mydło do ostatniej mydliny, mieć z głowy.
Turlaj się pomidorku bez skórki, klap, klap, klap.

Hańbienie dziewcząt

Radykalny piercing całego ciała aż do prześwitu, przez który
przeziera sierść. Niech zarasta nią gardło, niech łata wszystkie dziury.
Mówię: nie udomowię. Mówisz: *perfumy to też alkohol*.
Gdyby tak odkażać się cudzym zapachem.
A gdyby dziedziczyć esperal pod skórą.

Wiersze nagrodzone w Turnieju Jednego Wiersza (1 października 2022)

Nagroda główna

Joanna Balas

Poetka mieszkająca w Gdańsku. Z wykształcenia biotechnolog, z zamiłowania birdwatcher i włóczypis.

The cost of living now outweights the benefits

Zgubiła nas obłędna kruchość cielęciny.
Teraz mamy ostatnią starą krowę
z pustymi wymionami i sterczącymi żebrami.

Zabraliśmy ją dzieciom
z ich domku na drzewie w fazie planowania
do naszego living room, gdzie nikt nie wygrywa.

Nie mów mi o porozumieniu bez przemocy,
bo nie było z kim o tym porozmawiać.
Ludzie są jak krótkofalówki,

mogą albo nadawać, albo odbierać
a każdy bez przerwy gada do ostatniej krowy:
jeszcze trochę, daj mi jeszcze trochę mleka.

Ona jest bardzo chora
i my też chorujemy od jej chudego mleka.
Głaszczę moje coraz bledsze dzieci coraz bledszą dłonią.

Pamiętajcie, żeby ją pochować,
powinno jeszcze wystarczyć wam siły.
Dzieci, połóżcie ręce na stole

kiedy będziecie się nawzajem zjadać.

Wyróżnienie

Patrycja Oryl

Urodzona w 1993 roku w Pasłęku, zapuściła korzenie w Gdańsku, gdzie prawie ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Przed chwilą jej twórczość (bez niej samej) zadebiutowała w audycji Krzysztofa Kuczkowskiego i Tadeusza Dąbrowskiego Po pierwsze wiersze w Radiu Gdańsk.

Zwracam się z prośbą o rozpatrzenie reklamacji

U mnie nie działa.
Moje ciało się
zepsuło i nie słyszy,
że bez bólu
może ważyć
20 kilo więcej,
chodzić na jogę,
mieć rozstępy
ze złota
i pewność bytu.
Chciałabym je oddać
na gwarancję,
bo ma omamy
mojej matki,
że jeszcze trochę
i będę gruba jak
dziwadło,
że mój chłopiec
ma ciało Dawida
i to tak nie przystoi
córce
z zadaszonego pustostanu
nie mieścić się
w spodnie slim fit.
To nie będzie wyglądać
na tle całego Instagrama.
Moje ciało się
poprzestawiało.
Przez przypadek
musiałam coś
w nie wcisnąć.
Może te drobne pigułki

na zdrowie głowy
albo oczekiwania
przesłane przez kosmos.

Wada jest rażąca.
Załączam zdjęcia,
zamazuję tylko twarz.
I zwracam się z prośbą
o rozpatrzenie reklamacji.

Nagroda publiczności

Dagmara Borkowska

Autorka wierszy i opowiadań publikowanych na łamach Tlenu Literackiego, Helikoptera, Strony Czynnej, G'rls Room i Girls to the front. Żyje w Gdańsku, studiuje Produkcję form audiowizualnych. Jeszcze nie wie kim jest.

Jezus z drugiej ręki

dławi mnie myśl
co się stało z człowiekiem
który oddał różaniec do
lumpeksu

czy stracił wiarę
i w geście rozpaczy
po prostu
wypierdolił go przez okno

a może była promocja
na nowy
pachnący różą
z twarzą JP II

właściwie
nie wierzę i ja
ale nie mogłam go
tak zostawić
przygniecionego
swetrami
gaciami

nawet na krzyżu
trzeba umierać
godnie
to byłoby nie po
chrześcijańsku

PROZA

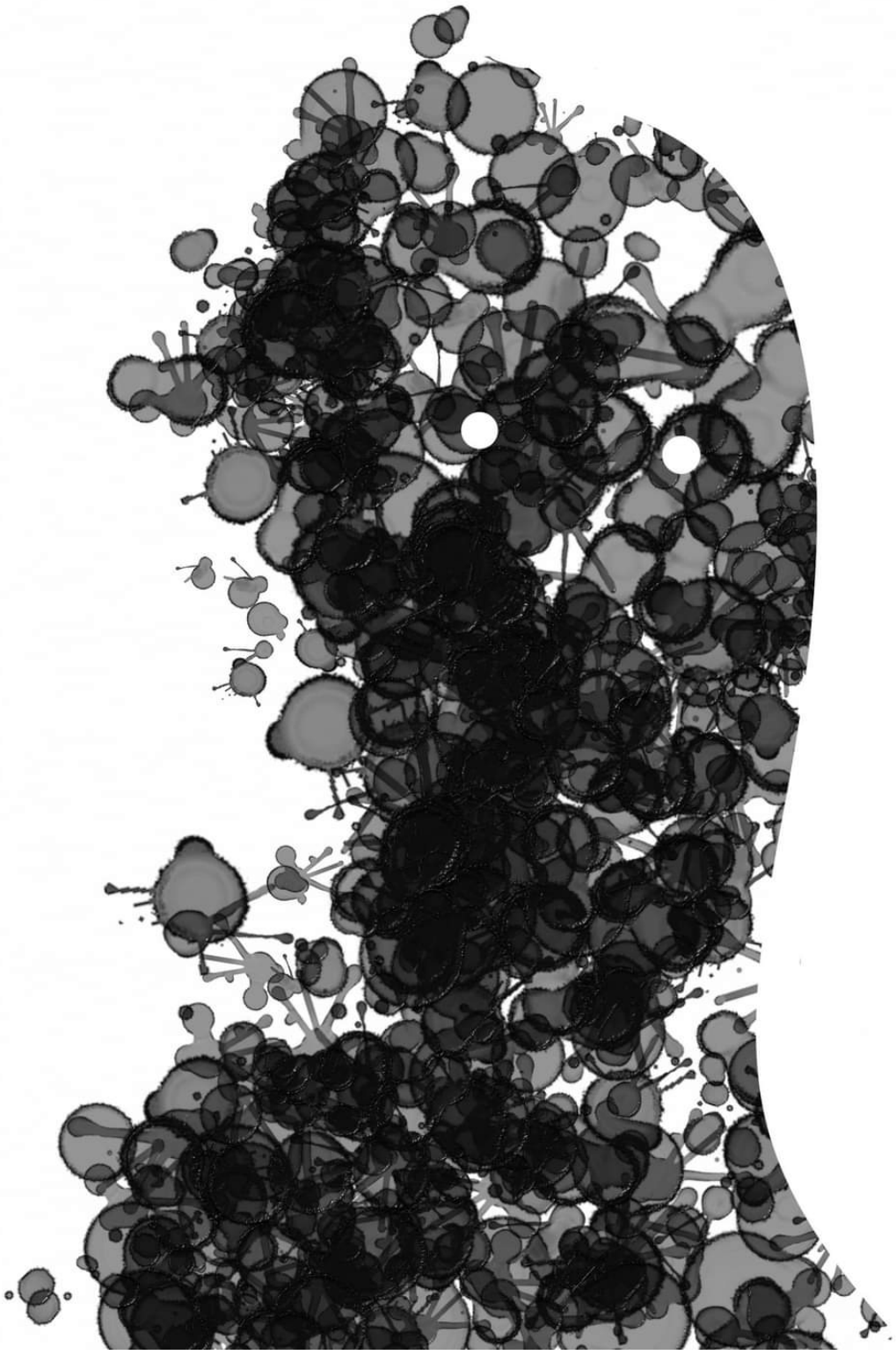

Żaneta Gorzka

Poetka. Wydała sześć książek i padła trupem.

A new pal

Leżę ci ja sama na plecach, za oknem naszego schronienia uplecionego z gałęzi jesionu aksamitnego ciemnawo jakoś, we wnętrzu nie lepiej jakoś i myślę o tej spryciuli nocce, co to swym niebosiężnym jęzorem zlizała przed chwilą resztki z dnia. I jeszcze o mym mężczyźnie myślę, który zakosztował wczoraj smaku swojej pierwszej kuchennej porażki. Wymyślił sobie, że upichci mi jaja gotowane w pomidorach z dodatkiem soczewicy, czosnku, cebuli, kilku szczypt przypraw, ajwaru i koziego sera. Jak on to danie wykombinował – zabijcie mnie, nie zgadnę. A to wszystko przeze mnie, bo przepadam za podjadaniem w nocy, jak mama mamy mojej mamy, której nigdy nie miałam, bo zostałam od razu stworzona z jego żebra. A on ubzdurał sobie spełniać każdą moją zachciankę.

Leżałam już, a on krzątał się przy palenisku. Widziałam tylko jego plecy, ale cierpiałam razem z nim. To mi wyglądało wyraźnie na jakieś żmudne obieranie, krojenie, obrabianie i gotowanie i tym właśnie się też w końcu okazało. Przy ostatnim składniku się poddał, ponieważ nasza leniwa koza odmówiła współpracy. „Dziwka", tak o niej wczoraj pomyślałam na głos, a on zapytał, skąd ja w sobie biorę te wszystkie ciekawe słowa. Odpowiedziałam, że „nie wiem, kochanie", bo naprawdę nie wiedziałam, i wstałam, żeby mu pomóc wstać po tym, jak zwalił się ciężko na ziemię, i zaprowadziłam w głąb szałasu, do naszego miłosnego gniazdka z mchu, paproci i młodych traw. Kiedy opuściłam go na legowisko, przekręcił się na wznak i spojrzał na mnie. Zobaczyłam, jak po jego policzkach płyną łzy, i sama też się wzruszyłam.

Zastanawiam się dziś, co musiał wczoraj czuć. Bo ja czuję ból z powodu naszego rozstania. Bo to jest rozstanie, prawda? – pytam samą siebie, ale ponieważ nie znajduję w sobie kategorycznego potwierdzenia, więc jeszcze się łudzę, że wróci. Wróci, jak tylko przełknie gorycz porażki. Wróci do mnie silniejszy i z jeszcze wymyślniejszym przepisem na mój nocny wilczy głodek.

Tymczasem żar z nieba leci i nie chce spaść. Bo to już kolejny poranek bez niego. Wstaję, otrzepuję się (poranna toaleta) i wychodzę na spacer. Głównie spaceruję po naszym raju, który jest naprawdę dosko (jedno z moich pierwszych słów). Chodzę naga, bo tu nikogo z nami nie ma. Dzięki temu jestem już tak opalona, że gdy tylko się trochę ściemnia, a ja, dajmy na to, mam ochotę patrzeć pod nogi, jak idę, żebym nie zapomniała, jak się chodzi, albo nie nadepnęła jakiemuś żyjątku na łepetynkę (jestem tu ledwie trzy tygodnie i wszystko to jest dla mnie wciąż nowe i spontaniczne), to nie widzę nie tylko swoich nóg, ale i reszty ciała.

Idę i staram się nie myśleć o nim, ale wszystko mi go przypomina. Choćby ta strzelista sosna zwyczajna. Czegóż ona może chcieć ode mnie, za co podziękować, że tak mi się w pas kłania z wiatrem i igliwiem obsypuje jak weselnym (nowe słowo) ryżem? Albo ta ropuszka szara, co prosi oczkami, by ją wziąć na ręce. I już myślę, co ty byś zrobił na moim miejscu. Czy wziąłbyś ją na dłoń, żeby strzeliła ci, kurwa jedna, jadową śliną w oko, czy jednak byś nie wziął. W ostatniej chwili zastygam z nogą w górze, bo przy stokrotce pospolitej, którą mijam, wyrasta tyci kopczyk i na powierzchni ziemi ukazuje się kompostowiec różowy. Nie zauważa, że to ja, zresztą nie miałyśmy jeszcze przyjemności się zapoznać. Czuje się więc swobodnie, wciąga haust powietrza. Spogląda w górę i przed oczami jaśnieje jej nagle wnętrze mego sromu. Ona chyba myśli, że to księżyc, bo uśmiecha się do swoich myśli i mówi coś w stylu, że „jestem okropną marzycielką" oraz że „muszę wyruszyć w podróż i wrócić zakochana".

Cierpliwa jest i łaskawa moja noga dla tej dżdżownicy. W końcu daje ona nura w czarnoziem, a ja opuszczam moją nogę i lecę dalej.

Zaczęło kropić. Taka przyjemna letnia mżawka, bo u nas podobno zawsze jest lato, więc innych mżawek nie znam i nie poznam (choć tu akurat grubo się mylę). Kiedy ostatnia kropla deszczyku rozpryskuje się na moim lewym sutku, dostaję gęsiej skórki z emocji. Tyle się wydarzyło, odkąd tu trafiłam z niebytu, i tyle się jeszcze wydarzy. Zaczynam teraz wierzyć, że on wróci do mnie jeszcze tej nocy, która przed nami.

Co mu wtedy powiem? Powiem mu, że chcę zapuścić długie włosy. I że myślę o malowaniu paznokci u rąk i nóg, ale jeszcze nie wpadłam na pomysł czym. I że zacznę biegać, żeby ujędrnić dolne partie ciała, niech pożąda mnie jeszcze mocniej. I chcę nauczyć się pływać, nurkować, może nawet skakać na bombę (nowe słowo). Robić mu śniadania, nim wstanie, obiady (zupa + drugie) lub obiadokolacje, nim wróci z codziennego rekonesansu po okolicy. I że go kocham, jak wariatka z psychiatryka (nowe słowo). I że chcę mu urodzić dwóch synów – gaworzące tłuste bobasy, którym urwiemy główki z miłości, tacy okażą się słodcy. Powiem mu to wszystko, choć zapewne innymi słowami, ale to nieważne.

Musiałam się zasiedzieć, bo zbiera się na zmrok, a od ziemi ciągnie gęstniejącym, acz przyjemnym chłodkiem. Wracam już w zupełnych ciemnościach i od razu wskakuję do naszego wyrka, żeby je rozgrzać dla niego, kiedy wróci. Bo teraz jestem pewna, że wróci, nie muszę już w to wierzyć. Zębów nie myję. Kto by w raju mył zęby i po co. Zamykam oczy i przypomina mi się jeszcze jedna rzecz, o której pragnę mu powiedzieć. Że koniecznie chcę jakieś zwierzątko w naszym domu. Najlepiej jakieś dzikie zwierzątko z tych wilgotnych lasów tropikalnych porośniętych lianami, które majaczą na horyzoncie. Może warana guzoszyjego?

I kiedy wyobrażam sobie naszego Azorka (nowe słowo), jak łasi się nam do nóg, gdy wracamy z pracy (kolejne nowe słowo, choć akurat jego brzmienie i to, co za nim stoi, nie podoba mi się), i podaje łapę i ryczy ze szczęścia, że pańciowie (leją się dziś ze mnie nowe słowa jak z odkorkowanej wanny (i jeszcze jedno nowe słowo)) wyprowadzą go na spacerek i będą mu rzucać patyk, żeby go przynosił, słyszę nagle suchy trzask gałązki, którą mogła złamać tylko jego stopa. Stopa mojego mężczyzny.

Zrywam się z betów (już nawet nie zwracam uwagi na nowe słowa) i wypadam przed szałas. Przede mną stoi mój Adam, zadowolony.

– Wróciłeś!!! – ryczę z radości i zaraz dodaję – Gdzieżeś wczoraj przepadł?!

Okazało się, że nigdzie nie przepadł. Zabłądził, jak się ściemniło, i zasnęło mu się w nogach węża, jego nowego kumpla.

Krzysztof Kwintkiewicz

(ur. 1995) – autor prozy i poezji, z wykształcenia filolog. Laureat konkursów poetyckich, w tym m.in. Turnieju Jednego Wiersza im. P. B. Greca. Publikował w „Helikopterze”, Wydawnictwie J, „Szortach” oraz „Składce”. Stale wraca do amerykańskiej prozy postmodernistycznej. Na co dzień pracuje jako specjalista od komunikacji, z kolei po godzinach walczy o prawa drzew i krzewów. Mieszka w Warszawie.

MOV +2.13%CDR +1.79%NCL +1.22%11B +2.36%

Czekając na pociąg SKM, przypominasz sobie udawanie na tamtej rozmowie. Rekrutacja to jeden z ostatnich procesów, podczas których możesz pozostawać w pełni "sobą", być swobodną jaźnią [czyli, zgodnie z twoją definicją, zbiorem swobodnych i niemodyfikowanych reakcji na bodźce]. U. więc to, co na co dzień:

1.twardość;

2.bezwzględność;

3.optymizm;

4.domyślną skłonność do myślenia pozytywnego/szukania rozwiązań

Wykaz 1.: cechy, które u. na co dzień/uniwersalnie, niezależnie od sytuacji

– oraz, dodatkowo, cechy i predyspozycje szczególnie pożądane w miejscu pracy, tj.:

1.tendencję do proaktywnego angażowania się we wszelkie czynności nadobowiązkowe;

2.neurotypowość;

3.wysoką odporność na stres.

Wykaz 2.: cechy oraz predyspozycje kluczowe w miejscu pracy

Słowem: wszystko.

Nie różni się to od poprzednich przypadków. Wtedy też byłeś zmuszony u., i chociaż sprawne u. dawało ci poczucie satysfakcji i kompetencji [trochę jak inwestowanie, które z jednej strony daje kapitał, z drugiej właśnie potwierdzenie pewnych zdolności], nigdy nie przybliżało cię realnie do szczęścia. Raz byłeś co najwyżej rozbawiony: kilka lat temu, kiedy u. to wszystko (wykaz 1, wykaz 2) tuż po tym, jak na rekrutację przyjechałeś bez biletu, bo dosłownie nie miałeś ani drobnych, ani pieniędzy na karcie debetowej, a szybkie przelewy na telefon jeszcze nie istniały. A więc zakres u. (wykaz 1, wykaz 2) się nie zmienił, tylko czynniki zewnętrzne pozwoliły ci odczuć wręcz tragikomiczny kontrast między realnym a u.

Pamiętasz, że do tamtej rozmowy kwalifikacyjnej przygotowywała cię kobieta, dla której u.:

1.czułego;

2.zdecydowanego;

3.

MOV +1.08%CDR +2.01%NCL +1.31%11B +0.22%

1.zaangażowanego;
2.zaradnego.

Wykaz 3.: cechy, które u. przed partnerkami życiowymi

Jednocześnie w tzw. “życiu intymnym/uczuciowym”, do którego zalicza się ta relacja, starasz się znaleźć punkt styczny pomiędzy u. (wykaz 3) a rzeczywistym. Innymi słowy, starasz się reagować na bodźce swobodnie i bez wyrachowania – i to pomimo faktu, że zaczynasz wątpić w to, czy w ogóle posiadasz jeszcze tę umiejętność. Na pewno możesz stwierdzić, że starałeś się kiedyś, jeszcze zanim początkowe u. [obustronne, występujące w każdej relacji] przekształciło się płynnie w inne, już permanentne u.

Jako elementy tej nagiej, kruchej, swobodnej jaźni – nie tej u., którą musisz emanować, żeby pasować do swojej przestrzeni i utrzymać pewien standard życia – postrzegasz właśnie:

1.maniakalność;
2.melancholijność;
3.wrażliwość na wyznania i cudze emocje.

Wykaz 4.: cechy, które postrzegasz jako elementy konstytuujące twój autentyczny charakter

Właśnie dzięki zamiłowaniu do tych tkanek czytasz Wallace’a i znasz jego kanoniczny tekst dotyczący autentyczności, przy czym jego znajomość pomaga ci uświadomić sobie jedynie pewien tragizm: przecież bez u. [czy też oszukiwania, jak chciałby Wallace] nie możesz współżyć z rynkiem, informacją, technologią i ludźmi.

Nie zacząłeś u. dla jakiejkolwiek osobistej korzyści. Od początku chodziło ci tylko o to, żeby zniwelować pewne zjawiska, które nie byłyby w ogóle zniekształcone, gdyby nie śmierć twojego ojca. Jej wpływ na sytuację twojej rodziny był, przyznasz, nieporównywalny do niczego innego; był, jak to określasz, k a t a s t r o f a l n y w skutkach. Pamiętasz, że jako czterolatek nie rozumiałeś przecież w pełni ciężaru, jakim cię obarczono. Zawsze sądziłeś, niemalże słusznie, że problem dostosowania się do otoczenia dotyczy wszystkich, nawet tych, którzy są w pewien sposób naturalnie predysponowani do odpowiadania na potrzeby innych i spełniania ich oczekiwań.

U. zawsze służyło nieodróżnianiu się. Samo nieodróżnianie się nie byłoby wcale potrzebne, gdyby nie fakt, że inność wprawiała w dyskomfort obie strony każdej relacji. Kondycja finansowa twojej rodziny, chociaż z założenia powinna wywoływać żal
MOV +2.32%CDR +5.16%NCL -2.54%11B +3.56%

i współczucie, ze względu na odmienność od kondycji wszystkich osób wokół ciebie wywoływała głównie niechęć. Musiałeś więc u. nie tyle, żeby oszczędzić sobie doświadczania fałszywej pobłażliwości i cudzego zakłopotania, co najzwyklejszej niechęci.

W młodości poznałeś aż za dobrze reakcje na nie-u.: zarówno pogardę jak i zwykłą obojętność, i to ta druga wydawała się najbardziej bolesna. Te emocje wywoływane w każdym kolejnym środowisku uświadamiały ci, w jakim stopniu pełna, a nie pozorna autentyczność postępowania spotyka się z karą. Jakakolwiek niesubordynacja wobec rzeczywistego systemu postępowania wiązała się z natychmiastowym potępieniem – i to stąd dynamika, której istnienie motywowało cię potem do usilnego, wręcz maniakalnego u.

Przecież wszystko, co znane ci pod postacią:

1.zawistnych spojrzeń;

2.prób niezauważania cię;

3.pasywno-agresywnych pytań;

4.opartych na spekulacjach odniesień do twojej kondycji

Wykaz 5.: zjawiska, których regularnie doświadczałeś ze względu na nieukrywanie swojego poważnego stanu lata temu

– było jednocześnie źródłem pogłębiania się twojej bezsilności oraz stale rosnącego zapotrzebowania na inność. Im bardziej czułeś, że elementy wykazu 5. oddalają cię od uzyskania statusu dobrego kolegi, przyszłego Account Managera, dobrego partnera itp. itd., tym mniej odczuwałeś, że rzeczywiście tego statusu pragniesz, ale też tym bardziej uciekałeś się do u. mającego pomóc ci osiągnąć ten status, bo potrzebowałeś go, żeby przetrwać.

Dość późno w życiu odkrywasz, że nowe, tworzące się wokół ciebie środowisko zewnętrzne zupełnie nie jest w stanie wyczuć, na ile wymuszone/przybrane/u. są twoje cechy charakterystyczne (wykaz 1). Od momentu twojego szeroko pojętego awansu społecznego, jaki osiągasz za pomocą:

1.edukacji;

2.katorżniczej pracy;

3.dość umiejętnego inwestowania;

4.stworzenia korzystnego finansowo związku

Wykaz 6.: działania, które umożliwiły ci częściowy awans społeczny

MOV -3.12%CDR +0.16%NCL -0.94%11B -1.76%

– w zasadzie nikt nie musi dowiadywać się o katastrofalnym wpływie śmierci twojego ojca na status społeczny twojej rodziny oraz o bolesnym piętnie, jakim jest dla ciebie ten status.

[O fakcie, że:

1.wcale nie byłeś świetnym studentem, a bez u. najprawdopodobniej przeszedłbyś przez okres akademicki prędzej z plakietką neurotycznego dziwaka niż uroczego ekscentryka;

2.w/w pracę zdobyłeś właśnie dzięki niezwykle wyważonemu u.;

3.inwestowałeś wspólnie z ludźmi ze swojej branży, których pozycja społeczna przytłaczała cię i wymagała od ciebie wyjątkowego u.;

4.stworzyłeś w/w związek u. w większym lub mniejszym stopniu w zasadzie na każdym jego etapie

Wykaz 7.: niewygodne dla ciebie aspekty wypracowywania przez ciebie awansu społecznego i pozbywania się tym samym poczucia, że jesteś bezwartościowym śmieciem

– lepiej nie wspominajmy. To oczywiste dla ciebie i kompletnie ukryte przed całym światem zewnętrznym.]

Twoje pierwsze załamanie nerwowe tym bardziej dziwi więc twoich najbliższych. Ci, którzy poznali cię w ostatnich latach, kojarzyli cię co prawda z pracoholizmem, manią, lekką ekscentrycznością i tendencjami do maniakalnego lokowania kapitału w co popadnie, natomiast nigdy nie podejrzewaliby, że taki rzutki chłopak z Ursynowa (on/jego) mógłby przechodzić z a ł a m a n i e n e r w o w e. Nawet po załamaniu, o którym dowiaduje się spora część twojego otoczenia, nie jesteś w stanie opisać zainteresowanym istoty rzeczy, bo wiązałoby się to z zarysowaniem im przynajmniej częściowo kontekstu twojego odwiecznego u. oraz wszystkich czynników, które cię do niego zmuszały.

W tej sytuacji tłumaczysz im, że na to drastyczne załamanie złożył się szereg czynników:

1.niespodziewany spadek wartości posiadanych przez ciebie akcji (a więc wszystkich twoich oszczędności);

2.nagły rozpad twojego związku;

3.wzrost cen papieru skutkujący zmianą planu wydawniczego jedynego wydawcy, z którym prowadziłeś zaawansowane rozmowy dotyczące twojego zbioru opowiadań;

4.

MOV +0.13%CDR +1.22%BLO -1.25%11B -2.25%AAPL +0.24%

1.pogorszenie się stanu zdrowia twojej matki.

Wykaz 8.: czynniki, które rzekomo złożyły się na pogorszenie się twojego stanu psychicznego

Nikomu nie możesz przy tym wyjawić, jak znaczące dla kogoś w twojej sytuacji materialnej jest posiadanie zabezpieczenia finansowego, motywującego i stymulującego cię związku, zaspokajającej twoje ego kariery artystycznej, i jak najmniejszych zmartwień dot. zdrowia twojej niezbyt samodzielnej matki.

Osobom z dalszych kręgów społecznych, a więc np. swoim współpracownikom, wmawiasz po prostu, że zmagałeś się z jakimś losowym urazem [pracodawca – sprawdzałeś to na potrzeby zbudowania odpowiedniej strategii u. – nie ma wglądu w L4 swojego pracownika].

Przez kolejny rok jakoś jeszcze funkcjonujesz. Nadchodzi ten moment w życiu reprezentantów wszystkich klas społecznych poniżej klasy wyższej [może poniżej mocno zamożnej klasy średniej, nie masz pewności], kiedy intensywna praca zaczyna pochłaniać ich coraz bardziej, w związku z czym pogarsza się ich:

1.zdrowie psychiczne;

2.zdrowie fizyczne;

3.zdolność podtrzymywania znajomości;

4.ogólna umiejętność skupienia się, myślenia krytycznego, pracy twórczej.

Wykaz 9.: zjawiska wywołane zwiększeniem się intensywności pracy osób w wieku średnim

Wszyscy wokół ciebie narzekają zatem na swoje samopoczucie, satysfakcję z życia, i obecny kierunek rozwoju rynku pracy [wyznaczony przez pędzącą automatyzację, która wg szacunków GUS-u od początku dekady pozbawiła pracy blisko 880 000 osób w kraju, przyczyniając się niemalże bezpośrednio do spadku PKB i pogłębienia różnic klasowych]. Zdaje się, że twoi przyjaciele jeden po drugim trafiają na prochy, chociaż nie wszystkich z nich stać na terapię [pomimo waszych autoironicznych żartów z powszechnego uwielbienia dla procesu terapeutycznego w waszej lewackiej bańce, nie wszyscy są w ogóle przekonani do terapii jako dla ścieżki radzenia sobie z kryzysem zdrowia psychicznego].

Wyznania, z którymi osłuchujesz się na każdym kroku, są jednak symptomem otwartości i autentyczności. Powoli staje się to dla ciebie oczywiste: nigdy, nawet w momencie najgorszego kryzysu, nie będziesz w stanie zebrać się na taką otwartość i autentyczność, jak ludzie wokół ciebie, zmagając się z codziennymi trudami i niedogodnościami. Starasz się

MOV +1.17%CDR -17.83%BLO -1.25%SLV -2.25%AAPL -0.37%

akceptować i rozumieć wszystkie emocje pojawiające się w twoim otoczeniu i wyraźnie definiujące panujące w nim nastroje – podobno jesteś cenionym słuchaczem o ponadprzeciętnej zdolności utożsamiania się z osobami, które zmagają się obecnie z całym skupiskiem problemów – jednocześnie u. przed swoimi najbliższymi, że odpowiednim działaniem można je opanować [w twoim odczuciu zawsze jednak wynikać będą ze zjawisk, które w szerszej skali zdarzeń nie mają aż takiego znaczenia, bo żaden twój rozmówca nie zmagał się z tym, co ty. Nie możesz pozbyć się tego poczucia pomimo najlepszych chęci].

Kuriozalne próby wskrzeszenia relacji, której zakończenie [bardziej niż konsekwencje społeczne i ekonomiczne jego zakończenia] zostało wymienione w wykazie 8., tylko pogarszają sprawę. Drastyczny kontrast pomiędzy perspektywami na życie, które wydawały ci się realne jeszcze półtora roku temu, a perspektywami, które wydają ci się takie obecnie, jest porównywalny do innego kontrastu, o którym myślałeś jeszcze niedawno. Jest kurwa ogromny.

Nabierasz poczucia, że kolejne załamanie może być tym ostatnim. Krach kursu CD Projekt nie wywołuje już w tobie nawet frustracji, co stanowi najlepszy dowód na to, że jesteś całkowicie pozbawiony więzi z rzeczywistością, w której tkwiłeś tak głęboko. W pewnym sensie p o c i e s z a cię wręcz fakt, że trzyma cię w niej coraz mniej punktów, faktycznie zaczynają trzymać cię coraz słabiej [co odczuwasz, paradoksalnie, poprzez brak odczuwania czegokolwiek. Ostatecznie demaskujesz nawet ten pozorny paradoks jako wynik przesunięć semantycznych].

Rozdzielając więc swój pozostały dobytek na rodzinę i bliskich uświadamiasz sobie, że istnieje sposób na ukrycie przed wszystkimi twoich problemów społecznych nawet po śmierci: zawarcie w testamencie klauzuli o nieorganizowaniu żadnego pogrzebu, który przecież stanowiłby dla wszystkich okazję do:

1.poznania twojej matki i ciotki;

2.dowiedzenia się od twoich nielicznych najbliższych przyjaciół o historii twojej rodziny;

3.wymienienia się informacjami nt. nałogów w które popadałeś oraz twojego ostatniego załamania [o którym niektórzy zebrani nie posiadali dotąd wiedzy].

W momencie, w którym kończysz ze sobą, jesteś więc stosunkowo spokojny; wszystko to, co miało zostać ukryte, będzie mogło pozostać ukryte. Skacząc pod zmierzający w kierunku zagłębia biznesowego pociąg SKM, wiesz, że ci się udało, że wszyscy zapamiętają cię jako tego, którego cechowały:

1.twardość;

2.bezwzględność;

3.optymizm;

4.domyślna skłonność do myślenia pozytywnego/szukania rozwiązań.

Wykaz 11.: cechy, które u. na co dzień, uniwersalnie, przez wszystkie etapy swojego dorosłego życia. Pytanie tylko, jakie ostatecznie było *ratio* tak konsekwentnego, gorliwego, zawziętego u., skoro twoje istnienie wciąż było dla ciebie, dla jedynej rzeczywiście doświadczającej go, a nie tylko postrzegającej je istoty, całkowicie nie do zniesienia.

Izabela Poniatowska

(ps. Pola Reutt) – dwukrotna finalistka "Połowu dla prozaików" (2021, 2022). Wiersze publikowałam w Kwartalniku Artystycznym i Helikopterze. Zanim zaczęła tworzyć literaturę, pisała o niej: jest autorką ponad 50 artykułów naukowych i popularnonaukowych, współredaktorką kilku książek naukowych, autorką monografii poświęconej literaturze popularnej drugiej połowy XIX wieku. W 2011 przewodnik dla dzieci po Łazienkach Królewskich jej autorstwa był nominowany do Nagrody Literackiej m. st. Warszawy.

Księżyc głupców

Tony, tony śniętych ryb.

Odłowiono.

W wodzie było za dużo tlenu, woda nie kwitła, to nienaturalne w lecie, w upale. Woda się pieniła. Woda śmierdziała szambem.

Była taka ciepła.

Miasteczko zalała fala spekulacji.

Wiedziałam, czyja to sprawka, kto to zrobił z tymi rybami, ale musiałam trzymać dziób na kłódkę.

Ciągle chodziłam nad rzekę, nawet w lutym, nawet w listopadzie. Była moja ulica, łąka, rzeka – i dopiero reszta miasta. Za rzeką, na osiedlu bloków, zostały szkolne koleżanki.

Rzeka oddzielała mnie od świata. Nie potrafiłam z nią wygrać, więc musiałam się z nią zaprzyjaźnić. Zbierałam wszystkie muszle, które wyrzuciła na brzeg, suszyłam przybrzeżne rośliny do zielnika, porównywałam próbki wody. Pamiętam, że wiecznie miałam pomarszczone od rzecznego chłodu dłonie, mokre plamy na pupie, bo musiałam zjeżdżać, brzeg wydawał mi się stromy; chodziłam zakatarzona. Świat latami był wilgotny, ożywczy, dostawałam przyjemnej gęsiej skórki.

Aż pewnego dnia – zawsze musi przyjść „pewnego dnia" – odłowiono z rzeki tony śniętych ryb. Te, które zostały, cięły pyszczkami wodę jak chore, jak pijane.

Cała nasza ulica od dawna wpuszczała szambo do rzeki.

Czułam, że to początek końca, że koryto niedługo wyschnie, dno popęka w mętne kawałki zbitego lustra. Później wszystko zarośnie zielskiem. Będę miała na skuśkę do koleżanek. Z tym że już nie potrzebowałam koleżanek: zakochałam się i nie mogłam spać, całymi nocami wpatrując się w ciemność i księżyc, tak jak piszą w książkach, jak pokazują w filmach.

Coraz częściej darłam koty się z rodzicami, aż kiedyś zagroziłam ojcu, że doniosę na policję, że wpuszcza szambo do rzeki. Wściekł się. Zeszłam mu z oczu, ale przez drzwi pokoju słyszałam, jak się kłócą o mnie z matką. „Nawet nie jest moja" – wrzasnął ojciec. Rozbolał mnie brzuch, zawsze tak było, gdy się kłócili, i dostałam rozwolnienia.

Zanim się pożarliśmy, ojciec narzekał, że szambo znowu jest przepełnione, a on nie ma czasu zrobić z tym porządku.

W środku nocy wymknęłam się nad rzekę. Świeciła mocniej niż wiszący nad nią księżyc w pełni. „Księżyc też się kończy" – pomyślałam. – „Ludzie są tacy głupi, że nawet księżyc zmarnują". Ta myśl wydała mi się refleksją osoby dorosłej i bardzo mądrej.

Jakiś czas potem zdecydowano o podłączeniu naszej ulicy do miejskiego systemu kanalizacji.
Przeczytałam tę wiadomość, zamieszczoną w lokalnej gazecie, na głos, przy śniadaniu. Matka siedziała ponura, z zasinioną górną powieką. Ojciec odsypiał wczorajsze imieniny kolegi z pracy. Rodzeństwo, pięcioletnie bliźniaki, poszły z babcią po zakupy.
Matka trzaskała talerzami. Udawałam, że nie widzę lima, zresztą, nie było sensu o nie pytać: przez drzwi pokoju matka w środku nocy krzyknęła do ojca: „To nie są twoje dzieci, tylko moje!". Wtedy to się stało.
Mogliśmy zasypać szambo.

To chyba jednak nie były tony ryb. Może tyle, ile trzypokoleniowa rodzina zjada w święta. Najwyżej wanna. Rcwęda jest bardzo płytką i leniwą rzeką.
Dziś już właściwie nie istnieje.

Przeczekać

Jakaż to była tragedia, gdy na początku narzeczeństwa, kilkadziesiąt lat temu, przypomniała sobie biblijne: „Gdy bowiem powstaną z martwych, nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, ale będą jak aniołowie w niebie”!

Jakaż teraz, po kilkudziesięciu latach małżeństwa, byłaby to dla niej ulga!

Gdyby wciąż miała wiarę.

Za młodu wyobrażał sobie, że po śmierci trafi do Krainy Wiecznych Łowów. Teraz, po kilkudziesięciu latach małżeństwa, po cichu skłaniał się ku wizji niekończącego się odpoczynku na chmurce o smaku lodów waniliowych. Ale nigdy nie wspomniałby o tym w towarzystwie.

Tymczasem poszli kupić kanapę.

Wybrali sklep meblowy, któremu byli wierni od czasu, gdy stworzyli wspólne gospodarstwo. Meble z tego sklepu nie były najlepszej jakości, ale w ich domu trzymały się zadziwiająco dobrze; przykład: te drzwi od szafy, na jednym zawiasie. Szybko znaleźli więc coś odpowiedniego.

Kiedy mąż korzystał ze sklepowej toalety, żona wzięła gazetę leżącą na jednej z komód i usiadła na kanapie, której nie mieli kupić. Zaczęła czytać wywiad z parą znanych aktorów. Wyobraziła sobie, jakie to musi być stymulujące dla związku, gdy trzeba na zdjęciach pozować na szczęśliwą parę, nawet w sytuacjach codziennych, bo dzięki temu można zdobyć angaże, współprace czy zaproszenia.

Wracali do domu i padał deszcz, na szczęście. Żona nie czuła się w obowiązku rozpraszać męża rozmową, bo ruch był spory. Kanapę dostarczono następnego dnia. Mąż od razu uciął sobie na niej krótką drzemkę. Żona czytała przy stole. Gdy się przebudził, stwierdził, wciąż nie podnosząc głowy, że nowy mebel jest chyba jednak za wąski dla pary, ale nie ma sensu go reklamować, bo to dużo zachodu. Kobieta przytaknęła. Przecież w mieszkaniu stał jeszcze szezlong, całkiem funkcjonalny. Wyszła do kuchni, żeby wyłączyć gwiżdżący czajnik.

Mąż tymczasem próbował uwolnić się z poduch, którymi żona zarzuciła nową kanapę zaraz po tym, jak ją przywieźli. Czuł, że ma już niewiele czasu. Młócił rękami w powietrzu i dzióbkował niczym pozbawione powietrza ryby.

„Przeczekam”, powiedziała do siebie żona. Wysokie drzewo za oknem obrastało słojami, przygotowując się na naloty zacinających igiełek śniegu.

Patryk Toboła

Chłopak z Sosnowca jak Jan Kiepura i Jacek Cygan. Odkąd pamięta, pracuje w biurze, odkąd pamięta, nie chce pracować w biurze. Nie cierpi pracy biurowej. Uwielbia piłkę nożną, Primitivo i Saula Bellowa.

Nie zostałem epigonem Thomasa Bernharda, ale wydatnie pomógł mi on uregulować pewne myśli

Czasem stałem przy oknie i zastanawiałem się, jak by to było udzielić wywiadu, w którym prowadzący wywiad zadaje mi pytanie, czy myślał Pan kiedyś o tym, że pewnego dnia udzieli wywiadu, czy wyobrażał Pan sobie jeszcze przed opublikowaniem debiutanckiej powieści sytuację, w której staje się Pan rozpoznawalnym autorem, a ja mu mówię, że w istocie wyobrażałem sobie taką sytuację, stojąc przy oknie i wyglądając na główną ulicę miasta, myślałem o wywiadzie, podczas którego prowadzący nie pyta mnie o losy bohaterów mojej książki, lecz zadaje mi właśnie takie pytanie, jakie Pan mi zadał, na które odpowiadam, owszem, wyobrażałem sobie taki wywiad. Działo się to najczęściej wtedy, gdy udało mi się napisać jakiś bardzo satysfakcjonujący fragment. Po odczytaniu go z wrażenia nie mogłem usiedzieć na miejscu, szedłem więc do kuchni, jadłem winogrona lub banany, wyglądałem na główną ulicę miasta i wyobrażałem sobie prowadzącego, starszego mężczyznę, niekoniecznie takiego jak Pan, zadającego mi pytanie: jak się Pan czuł w trakcie pisania debiutanckiej powieści? Ponoć przez pewien czas pozostawał Pan na utrzymaniu żony, czy było to przygnębiające? Czy nachodziły Pana wątpliwości i nosił się z zamiarem zaprzestania pracy? Zanim pomyślę, co odpowiedziałem wyimaginowanemu dziennikarzowi, wyobrażam sobie, jak wyglądam, udzielając obu wyimaginowanych wywiadów. Mam na sobie sztruksową koszulę i grafitowe dżinsy, noszę zamszowe półbuty, bo pozostałem zwykłym gościem. Używam plecaka zamiast walizki, czasem podróżuję autostopem, a w komunikacji miejskiej zdarza mi się nie kasować biletu, bo pozostałem równym chłopem, mimo osiągnięcia tak zwanego sukcesu. Prowadzącemu drugi wyimaginowany wywiad odpowiadam, że kiedy nie miałem pieniędzy i znajdowałem się na utrzymaniu żony, bo faktycznie taka sytuacja miała miejsce, przynajmniej połowa powieści była już ukończona. Po sześciu latach zrezygnowałem z etatu w biurze podróży i w całości poświęciłem się twórczości, *jakkolwiek sztucznie by to nie zabrzmiało*, pomyślałem, że powiedziałem prowadzącemu drugi wyimaginowany wywiad, o którym opowiadałem w pierwszym wyimaginowanym wywiadzie. Stałem przy oknie i patrząc na główną ulicę miasta, myślałem, że jakkolwiek zwrot ten jest sztuczny i pretensjonalny, naprawdę zrobiłem coś takiego, to znaczy zrezygnowałem z etatu i w krótkim czasie znalazłem na utrzymaniu żony, by w całości poświęcić się pisaniu. I nie czułem się z tym źle, jak mogłoby się zdawać, jak sam myślałem, że będę się czuł, zanim podjąłem przełomową dla siebie decyzję. *Dorosły, przeszło trzydziestoletni chłop na utrzymaniu żony; śmierdzący leń; darmozjad; niebieski ptak* – takie myśli, takie słowa i takie

zwroty chodziły mi po głowie. Przypuszczam, że nie bez znaczenia jest tu fakt, że średnio nam się wtedy układało. Tak jak myślałem o rzuceniu pracy, tak też myślałem o rzuceniu żony, ona z kolei pewnie myślała o rzuceniu mnie. Myślałem więc, przed rezygnacją z etatu, że najgorszą rzeczą, jaką mógłbym sobie zafundować, prawdziwym piekłem na ziemi, jakie mógłbym sobie zgotować, byłoby finansowe uzależnienie od żony, życie z nią pod jednym dachem i okłamywanie jej, że wszystko jest w porządku, byle tylko móc pisać, szybko jednak przestałbym móc pisać, przytłoczony bezmiarem własnego kłamstwa. Tego się obawiałem przed rezygnacją z etatu, powiedziałem wyimaginowanemu prowadzącemu wywiad, powtórzyłem drugiemu wyimaginowanemu prowadzącemu wywiad, pomyślałem, stojąc przy oknie, a potem spisując te słowa, lecz rzeczywistość okazała się dla mnie nad wyraz łaskawa.

Pierwszy raz w życiu czułem, że znajduję się we właściwym miejscu i czasie. W pisaniu na cały etat odnalazłem bezpieczną przystań i cieszyłem się każdą sekundą niespędzoną w biurze, a przed klawiaturą w domu; wielokrotnie, najczęściej w duchu, dziękowałem żonie, że umożliwiła mi to swym finansowym i, jak by nie patrzeć, także emocjonalnym wsparciem, przede wszystkim jednak dziękowałem sobie, bo wreszcie po wielu latach zdołałem bezsensowne bębnienie w klawiaturę w pracy zamienić na sensowne bębnienie w domu. I wcale nie myślałem, że w samym fakcie bycia pisarzem jest coś wyjątkowego, czułem natomiast, iż jest wyjątkowe, że ja się nim właśnie staję. Nie dlatego, bym był predestynowany do bycia pisarzem i lepszy od reszty świata jako pisarz i artysta, który nie musi (nie chce) pracować i tak zwanym uprawianiem sztuki usprawiedliwia swą lekkomyślność oraz daje sobie prawo do odczuwania moralnej wyższości nad resztą społeczeństwa, a dlatego, że tak się wymyśliłem. Stworzyłem w głowie siebie jako pisarza, umieściłem się w pokoju przed klawiaturą i po wielu latach prób, tysiącach stron, setkach godzin pracy nie mniej wycieńczającej od machania łopatą na budowie, wreszcie poczułem, że JESTEM U SIEBIE. Poczułem, że nie muszę nigdzie gonić, jak czułem, podróżując i imając się różnorakich zajęć. Zawsze coś mi nie pasowało, nie dawał spokoju wewnętrzny niepokój, który naraz i na zmianę próbowałem zapić, zaćpać i zajeździć po całym świecie; przejmowałem się nic nie znaczącymi kwestiami, bzdury brałem do serca, walczyłem ze sobą i cały czas szukałem innych ludzi. Cały czas aspirowałem do innych ludzi, bo właśnie to cały czas robimy, nieistotne, czy jest się tapicerem, kanalarzem, inżynierem czy piosenkarzem, aspirujemy do innych ludzi, ale nigdy nie otrzymujemy od nich tego, co chcielibyśmy od nich otrzymać. Otrzymujemy od nich coś, owszem, ale nie doceniamy tego, co otrzymujemy, wymagamy więc więcej tego, czego oni nie potrafią nam dać, a czego my nie potrafimy nawet nazwać i nie podejrzewamy, że oni tego nie mają. Zrezygnowaliśmy z siebie na rzecz ludzi i wydaje nam się, że możemy od nich żądać

tego, czego żądać nie możemy. Przez ten dotkliwy brak, przez to bolesne niezrozumienie, rośnie w nas żal, kończymy oszukani, rozczarowani, wydrwieni przez los, słowem: przegrani. Wszystkiego moglibyśmy tego jednak uniknąć, gdybyśmy w odpowiednim momencie, może nawet teraz, może nie jest jeszcze za późno, zwrócili się kierunku samotności. Nigdy nie powiem, że sztuka pasuje do samotności bardziej niż na przykład garbowanie skór, nie powiem, bo po pierwsze nie wiem, czy pasuje bardziej, po drugie nie sądzę, że pasuje bardziej, wiem tylko, że w końcu znalazłem swoją samotność. Bębniąc w klawiaturę, poczułem się bezpiecznie, jak nie czułem się nigdy w życiu, spokojnie, jak nigdy w życiu, pewnie, jak nigdy w życiu, szczęśliwie, jak nigdy w życiu, i pomyślałem też, że z takim spokojem będzie mi znacznie łatwiej zbliżyć się do ludzi niż z wcześniejszym niepokojem, o czym jednak przekonam się dopiero w nadchodzących latach. Tego ostatniego nie powiedziałem prowadzącemu wyimaginowany wywiad, a więc nie powtórzyłem też drugiemu prowadzącemu. Najważniejsze zostało pomyślane, a teraz należało to spisać. Szybko dokończyłem banana i ruszyłem do pokoju.

Katarzyna Woydyło

Urodzona w 1992 roku w Zabrzu. Absolwentka filologii germańskiej, specjalność tłumaczeniowa na Uniwersytecie Śląskim. Uczestniczka Kursu Pisania Powieści KMLU. Mieszka w Zabrzu.

Opiekun

Siedzę na czerwonym fotelu przy balkonowym oknie i oglądam film. Pani Nela wyświetla mi go codziennie, podnosząc z gracją roletę, zmieniając noc na dzień, powolne umieranie na ostatnie drgnienie. Nie może przybliżyć ekranu, ale ostatnio jestem jej wdzięczny, że przybliża mnie do niego tak często, jak zdoła sobie o tym przypomnieć, czyli rzadko.

Ona jest piętro niżej i trzydzieści pięć metrów dalej, ale to mnie fotel kłuje w tyłek pustym trzaskiem stłuczonych bombek. Miażdżę je cielskiem, a część w nich wbija się tam, gdzie nie dotyka mnie nikt. Nie słyszę zwycięskiego parsknięcia, gdy zaczynam się mościć. Choć wiercę się odrobinę w lewo i prawo, półdupkiem omijam żarzące się węgle, nikt się nie śmieje. Zapomniane igły, utracone żądła i tryliardy małych pinesek. Dalej nic.

To nie jest psikus.

Siedzę ściśnięty fotelem tak długo jedynie dlatego, że wyjść musiałbym razem z nim. W komplecie futryna nas nie przepuści, a wtedy zostanę w pokoju u pani Neli odrobinę dłużej niż chciałaby ona i o wieczność dłużej niż chciałbym ja.

Powtarzam w myślach, że właśnie dlatego siedzę tutaj już cztery godziny i kończę dwudziestą trzecią minutę piątej, dlatego że to właśnie fotel mnie trzyma, a nie osoba, dla której na nim usiadłem.

Dłonie kładę na kolanach i zastygam w tej pozycji jak sfinks. Nie mówię żadną zagadką, nie mówię wcale, ale gdyby ona chciała kiedyś coś ode mnie usłyszeć, powiedziałbym, że jej plecy są najpiękniej narysowaną mapą orientu, jaką widziałem. Że mógłbym scałować z niej każdą brązową plamę, która spływa po jej skórze pozbawionej pigmentu, i wciąż byłbym jej spragniony.

Ostatnie słowa wykreślam już w myślach, zarzucając sobie zbędny dramatyzm, a jednak gdy myślę, że pragnę, muszę otrzeć usta wierzchem dłoni. Nie wierzę, że na samą myśl o plecach kobiety zaczynam się ślinić jak dziad, jak pospolity podglądacz z kryzysem dojrzałości, tożsamości i życia ogólnie. Myślę, że gdybym jednak miał umrzeć w tak upierdliwym fotelu, to widok jej pleców mógłby być ostatnią rzeczą, jaką zobaczę.

Umarłabym syty.

***

Kiedy cierpną mi palce dłoni, to znaczy, że palców u stóp nie czuję już od godziny. Za pół godziny zdrętwieje mi kark, za kolejne pół ramiona, a nawet żuchwa, a ja sam stanę się

skamieliną, którą pani Nela zawoła do wieczornej kąpieli. Powie mi „chodź się kąpać", jakbym kiedyś poszedł, pobiegł, ale obydwoje wiemy, że „chodź" znaczy nie więcej niż „pozwól".

Kiedy pozwalam, zaczynam wstydzić się każdego pieprzyka na ciele, który pamiętam, każdej fałdki, którą dźwigam tylko, gdy muszę usiąść, a i wtedy często nie samodzielnie. Czuję swój smród, i choćby był najbardziej paskudny, nigdy mnie u siebie nie razi.

Wstyd mi dopiero wtedy, kiedy widzę zmarszczony nos pani Neli. Ją razi to wszystko, a jednak jutro też tutaj będzie, znowu rozciągnie mój dzień w takie kształty, żebym nie poznał, że czegoś mi w życiu brakuje. Gdy przyjdzie wieczór, zawoła, żebym poszedł się kąpać, ja znowu nigdzie nie pójdę, ale znowu pozwolę.

Czuję mrowienie w palcach u dłoni, kiedy oglądam film z kobietą z mojego snu. Dziś znowu u niej, ale nie jest mi źle ani głupio, że znów się wpraszam.

Widzę paski na jej skarpetkach tylko wtedy, gdy ma stopy u góry. Paski migają w tym samym tempie i co jakiś czas muszę odwrócić wzrok, żeby nie dać się im zahipnotyzować. Ona jest dla mnie teraz jedną z wielu dziewczyn z reklamy, która leży na łóżku w swoim nastoletnim pokoju, leży na brzuchu, nogami macha pod sufit. Nie muszę nawet długo tego odkrywać, ta myśl uderza mnie po kilku sekundach patrzenia na paski, choć nigdy nie dowiem się, jak wysoko ma sufit.

Jej twarz jest podparta o smukłe ramiona, widzę ich fragment pod dwoma strugami brązowych włosów. Leżą leniwie na niej, a ja czuję jak smak gorzkiej zazdrości drapie mnie w gardło.

One leżą, gdzie chcą, a ja, gdzie mnie położą.

Dałbym się jej ułożyć, gdzie tylko by chciała. Mogłaby mnie brać i odkładać. Dla mnie to, że mnie weźmie do rąk, a potem odrzuci, byłoby ekscytujące.

Zaczynam się uśmiechać, z jednego kącika wypływa mi ślina. Wyglądam jak typowy głupek. Sam orientuje się szybciej, niż ktoś mógłby mi o tym powiedzieć, więc doprowadzam twarz do ponownego stężenia. Upominam się i szczypię palcami po udzie, żeby za tą głupią wesołość móc się jakoś ukarać, ale przestaję czuć palce, ledwie mogę nimi poruszyć. Zginam jeden, którym drapię się w ucho i czekam na to, aż zdrętwieje mi kark.

***

Nie zawsze tak było. To powie ci każdy. Ja nie jestem jak każdy, ale i tak powiem to samo.

Pamiętam, że nie zawsze dzieliłem swoje mieszkanie z wynajętą mamą, która za większość tego, co prawdziwa mama jej płaci, a część tego, co płacę ja, codziennie udaje członka rodziny.

Mieszkam z nią teraz i to jest czasem tak dziwne, że budzę się w nocy i płaczę, bo gdyby ona przyszła i zaczęła mnie dusić poduszką, to – choć jestem od niej ponad czterdzieści kilo cięższy – uciszy mnie tym na zawsze, a ja nawet nie sięgnę po telefon, żeby po kogoś zadzwonić. Musiałaby mi go podać.

Czasami jednak jest to tak naturalne, jak to, że patrzę na miłość mojego życia, jak żuje gumę przed lustrem, jak ściąga ubranie i chodzi w pokoju w samym staniku, a jeśli w koszulce, to bez stanika i wtedy, gdy uczy się, pochyla nad książką i zastyga tak na godzinę lub więcej. Dłoni, które odwracają strony, nie widzę, ale widok jej twarzy sprawia, że i tak się gapię, jak na najlepszą okładkę książki, której nigdy nie zdołam nawet otworzyć.

Mógłbym tak długo.

Tak samo naturalne jest dla mnie siedzenie rano z panią Nelą, która pięć minut wcześniej zanosi do mojego pokoju czarną herbatę, zupę mleczną bez cukru, cztery tabletki i witaminy. Patrzę na nią, jak rozwiązuje krzyżówkę. Rozwiązujemy ją razem, bo zna mniej niż cztery hasła w krzyżówce, resztę rozwiązań jej potem dyktuję. Dwóch haseł nie znam zazwyczaj ani ja, ani ona. Jeśli nie wiemy już razem do końca, zostawiamy krzyżówkę niedokończoną, ale wtedy nigdy nie kusimy się o uzupełnienie hasła. Nie zasługujemy wtedy na taką nagrodę i wiemy o tym, choć nigdy nie zdążyliśmy takiej zasady ustalić.

Po śniadaniu wychodzimy na dwór. Ja zawsze z przodu, tak mnie to życie ciągnie do siebie. Mój wózek pcha pani Nela, która wskakuje po nowe krzyżówki do tylko-tu-wdepnę, ziemniaki kilo-i-kilka-poproszę, ogórki najlepsze-są-tu i kilka jabłek lepszych-niż-z-supermarketu.

Gdy pani Nela wychodzi, w dłoniach ciąży jej kilka szmacianych toreb, których napięte szwy szczerzą się do mnie w uśmiechu. Zaczynam sapać jak psy, obok których codziennie przed sklepem, przed kioskiem i warzywniakiem, siedzę.

Czekam i skamlę bezgłośnie. Wtedy wracamy do domu.

Do domu i w domu jestem znoszony, wnoszony, przenoszony.

Powtórz w ciągu dnia razy kilka.

Odświeżany. Przemywany. Myty. Szorowany.

Karmiony.

Nie utrzymam na dłużej widelca. Przestałem się na to porywać, od kiedy spadł mi pod stół, a pani Neli nie było. Patrzyłem jak stygnie mi obiad. W całym domu pachniało pieczonym kurczakiem. Jego chrupiąca skórka zdążyła po godzinie zesztywnieć jak guma, a kopczyk ziemniaków zastygł z cienką warstewką tłuszczu, która miała je jedynie okrasić. Buraki stawały się ziemniakami, ziemniaki różowiutkimi burakami.

Jak przełknę wszystko, co ląduje w mych ustach samolotami, helikopterami i rakietą kosmiczną, jestem odstawiany na czerwony fotel obok balkonu, żebym mógł się trochę rozejrzeć. Telewizor włączamy dopiero jak jestem czysty, więc do tej pory sam wymyślam spektakle.

Włączam wtedy każdą myśl, która jest brudna, nieświeża, nosząca ślady wszystkiego, co dotąd przeżyłem, wyśniłem i przetrawiłem, i patrzę na nią przez okulary zaciekawienia. Trzymam je mocno przy nosie, bo nie wybaczyłbym sobie, gdybym cokolwiek z jej popołudnia przeoczył.

***

Nie mogłem pół nocy zasnąć. Tak właśnie myślę, choć nazywając ten czas połową nocy, porywam się na spory szacunek. Leżąc i tak nie widzę zegarka.

Godziny dłużyły się tak, jakby ktoś mi je na złość w środku nocy przykręcił i zaczął powoli odkręcać kilkaset minut później. Przez te kilkaset minut byłem w milionach miejsc, których nigdy nie zdążyłem zobaczyć, a teraz już jest za późno. Zdążyłem wylądować też w myślowym czyśćcu, w którym jedna myśl krąży w kółko i poszukuje mety, która nie istnieje.

Owe rozstrojenie, którego nie miewam zazwyczaj, zostawia mnie dziś samego w gęstym rozdrażnieniu już przy śniadaniu. Z reguły śpię jak dziecko nawet wtedy, gdy wieczorem kusimy się z panią Nelą na słabą kawę z mlekiem dla smaku, a ona mi mówi, że teraz obydwoje będziemy świecić ślepiami pół nocy. Pijemy kawę, a gdy dopijam ostatni łyk, bez problemu zasypiam. O niczym nie śnię i tak jest najlepiej.

Dziś nie potrafiłem zasnąć, a gdy zasnąłem, obudził mnie skurcz obydwu łydek. Pomyślałem, że to kara za to, że dziś znów się gapiłem, że byłem z nią, choć mnie ostatnio prosiła,

żebym już odszedł.

Zasycha mi w ustach. Herbata odbarwia się czarnym śladem na rancie kubka. Czekam aż wystygnie i będzie można ją wylać.

Pij, mówi pani Nela, pij, będzie ci lepiej.

Nie będzie, myślę sobie. Co ty wiesz o umieraniu.

Umarłem cztery dni temu.

Ona przebrała się w niebieskie spodnie dresowe a koszulę zmieniła na prześwitujący, błękitny t-shirt. Lubię go tak samo jak ten bladoróżowy, który sięga tylko do pępka. Za każdym razem miałem tak dużo szczęścia, że akurat jak w nim była, to musiała się po coś schylić, pokazywała mi swoje plecy i znów nie byłem sam w pustym pokoju, a byłem z nią, jej zdrowym, pełnym barw ciałem, którego pragnąłem.

Pragnę jej ciała tak bardzo, że czasem nie wiem, czy to dla niej tu siedzę jako osoby. Może siedzę tu tylko dla ziemskiej powłoki, w którą ktoś ją po urodzeniu oblekł, czyli dla jej odzienia. Innym razem jestem przekonany, że zazdroszczę jej tego, że jest zdrowa i obca jej każda ułomność, z którą ja tu się męczę. Dzień później znowu jestem cały w zachwycie i już nie pamiętam, jak mogłem jej przez chwilę nie kochać. Jak mogłem jej tak złorzeczyć.

Ubrana w komplet, którego nigdy nikomu z zewnątrz nie pokazała, zarezerwowany tylko dla najbardziej zaufanych jej osób, stanęła na łóżku i wyciągnęła ręce ku górze. Nie widziałem jej dłoni ani stóp. Jej głowę pochłonął sufit, którego nigdy nie widzę.

Na początku byłem zdezorientowany. Nie rozumiałem, po co weszła na łóżko i co z niej właściwie zostało. Po chwili oszołomienia doznałem jednak olśnienia. Równo skrojone uda i wcięcie w talii były linią na środku okna. To wciąż była ona.

Musiałem odkaszlnąć, chwilę później pewnie bym się udusił.

Patrzyłem na jej pupę. Pośladki tańczyły na środku ekranu pod wpół luźnym dresem. Takie dresy bywają luźne, gdzie trzeba, a gdzie nie powinny, nie są takie wcale.

Chciałem odwrócić wzrok i dać jej chwilę, żeby zdążyła zejść z łóżka.

Przysięgam. Chciałem.

Nie zrobiłem tego.

Stałem tuż przy niej i zdrowymi dłońmi trzymałem ją w pionie, żeby się nie zachwiała. Jej pośladki podnosiły się za każdym razem, kiedy stawała na palcach. Materac łóżka pozwalał jej wznieść się wyżej i wyżej. Czułem jak ślizga się po wnętrzu mych dłoni, jak muszę ją łapać, żeby nie odfrunęła. Robię to bezbłędnie za każdym razem.

Wysuwam się cały w fotelu do przodu.

Przy takim ruchu boli mnie wszystko od mostka po czubek głowy, ale pieprzę ten ból, biorę garściami to, czym mnie dziś obdarowuje. Nosem dotykam szyby, jestem zwykłym prosiakiem z parą na szkle pod nosem. Gdyby mi rozkazała, zakwiczałbym. Zrobiłbym wszystko, żeby tylko nigdy nie zeszła z łóżka.

Ostatni raz przekręca się w miejscu i schodzi. Ogromny klosz lampy, której światło rozpoznałbym wszędzie, trzyma pod pachą. W dłoni drugiej ręki trzyma żarówkę.

Nie ma gdzie jej odłożyć. Odkłada na parapet mojego ekranu.

I wtedy pierwszy raz, odkąd się znamy, patrzy na mnie, przeze mnie.

Wiem, że nie chciała, że spojrzała przez okno tylko na chwilę, nie chciała niczego przez nie zobaczyć. Poznaję to po zaskoczeniu, że widzi mnie. Po wzburzeniu, które wykrzywia jej twarz, że widzi właśnie mnie. Jej policzki dojrzewają na moich oczach. W sekundę stają się czerwonymi jabłkami gala, które robal zaczął wybrzuszać od środka.

Patrzy na mnie, a ja chciałbym się wtedy wycofać, zaciągnąć firankę i uciec daleko.

Mogę tylko przestać udawać prosiaka. Nie mogę nawet zetrzeć pary na szkle.

Zasłania roletę.

Do wczoraj nie widzę już nic.

***

Po tym jak zrobiłem to ponownie nie leżę spokojnie, o nie. Nie oglądam lekkiej komedii, która ma osłodzić wieczór zgorzkniałemu, schorowanemu kawalerowi. Jestem co prawda najedzony, bo znowu ją widzę, ale niepokój wywraca mi trzewia. Od dwóch dni choruję na niestrawność, którą nabyłem, najadając się kosztem kogoś, komu sam bym wszystko odstąpił. Czuję się podle, jak każdy, kto schrzani coś, na czym mu zależało, tylko sto razy bardziej.

Czekam, aż zmorzy mnie sen. Czekam do rana, a potem wstaję i wieczorem to samo.

Myślę o niej, o jej ciele, o łóżku, pupie, wracam do momentu, gdy wybierała dres, przewijam myślami do pośladków. Próbuję sterować myślami i pomijam sceny, które sprawiają, że jest mi gorąco, a nie powinno, gdy stopy na wierzchu. Kolana też.

Wiercę się, szukam wygodnej pozycji.

Wtedy widzę jej twarz, policzki rosną na moich oczach, pękają a czerwona farba opryskuje okno, przez które zawsze się na nią gapię.

W końcu zaczynam śnić koszmarami. Śnię dalej.

***

Pani Nela nie posadziła mnie od sześciu dni na fotelu.

Nie sztywnieje mi żadna część ciała. Mój tyłek wierci się na miękkich poduszkach, jeszcze chwila i nie pogodzi się z tym, że kiedyś miałby wrócić na fotel.

Ja nie chcę zapomnieć, dlatego uśmiecham się często do mojej opiekunki, żeby przywrócić wrażenie, że wszystko wróciło do normy. Niech myśli, że jestem już tak rozbawiony jej towarzystwem, że znowu spokojnie może posadzić mnie w swoim pokoju przed oknem i zadzwonić do córki.

Na każdy jej żart odpowiadam śmiechem, wszystkie kubki z czarną herbatą opróżniam póki gorąca. Łzy trzymam na wodzy. Zdenerwowanie kocem, którym pani Nela oplątuje mi nogi, a z którego ja nie mogę się wyswobodzić, zamazuję kaszlnięciem i drapię się przy tym po uchu. Ukrywam tak samo grymas znużenia, gdy kolejny raz puszcza wieczorem *Szkło kontaktowe*. Zasypiam z przyklejonym taśmą błogim uśmiechem.

Staram się nie przyznawać przed sobą, że na chwilę naprawdę było mi dobrze. Trzy razy przez półtorej minuty tak bardzo zainteresowało mnie to, o czym mówi pani Nela, że o niej nie pomyślałem. Potem przepraszałem ją w myślach i myślałem dwa razy mocniej, żeby to wynagrodzić.

Wciąż wierzę, że wrócę, a ona mi wszystko wybaczy.

Siódmego dnia śmieję się ze wszystkiego. Z siebie, z pani Neli, z jej żartów i gdy nie żartuje wcale. Nie rozróżniam sytuacji, w których śmiać się nie można. Mówię długo, słowa wypływają ze mnie nie ciurkiem, a rwącym strumieniem, niosą mnie tak, że nic tylko wstać i iść. Nigdzie się nie ruszam, ale pół dnia opowiadam pani Neli, co bym zrobił, gdybym jednak mógł wstać. A ona mi mówi, że czasem niebezpiecznie jest marzyć o czymś zbyt długo. Nie wiem, czy chce mnie tym rozśmieszyć, czy raczej zniechęcić, więc asekuracyjnie zaczynam się śmiać.

Kiedy pani Nela wychyla się z kuchni, wychyla się z niej nie cała, a w pourywanych fragmentach. Z daleka wygląda jak mim, ale tylko w połowie. Mówi do mnie bez przerwy.

Widzę jej stopę, kolano, jedną rękę, szyję i głowę. Bez jej prawego ucha.

Nie obchodzą mnie słowa, ciąg dalszy opowieści o córce. Mówi o znudzeniu jej dziecka, o tym, że dziecko ma chłopaka, który przeklina i drugiego, który choć mądry, to nieżyciowy kompletnie. Dziecko ma już pierwszą pracę, kolejną i nową, do której nie chodzi bo podobnie jak mama, jest zdolne, ale ma w życiu pecha do ludzi. A że z tego dziecka, córki, córuni, córusi,

mądra, naprawdę mądra dziewczyna, to szkoda największa. Byłoby z niej co. Ale nie będzie, bo pani Nela mówi, że córka nie chce sprzątać i że to akurat ma pewnie po swoim ojcu.

Przełykam te fakty jak owsiankę, której nie lubię, ale którą jem, żeby móc się czasami wypróżnić. Rejestruję je, wiem, że są składnikiem owsianki, przegryzam, połykam.

Muszę zadzwonić do córki.

Posiedź proszę dziś na fotelu,

mówi mi pani Nela.

***

Wracam na fotel, który wita mnie każdą możliwą niedogodnością.

Kłuje mnie tak samo jak zawsze, a marzyłem, że będzie inaczej. Chciałem pamiętać, że gorzej już być nie może i miałem nadzieję, że będzie lepiej.

O tym, że frajer wrócił, fotel daje znać światu od razu. Jeszcze zanim pani Nela sięga po telefon, rozkłada się pode mną, tak że boże-przenajświętszy-i-wszyscy-święci. Jezusku-kochany-gdzie-ja-taki-kurwa-fotel-znajdę. No, gdzie.

Pani Nela żegna się i zaczyna mnie zbierać z zimnego, porysowanego gumolitu. Czuję, jaki jest zimny i widzę, że jest porysowany, gdy odklejam od niego policzek. Tylko tam mogę to zauważyć. W każdym innym miejscu jest dywan.

Wsadza mnie powoli na fotel, który jest małą ruiną, bez miejsca na lewy łokieć. Nigdy nie chciałbym go tam położyć, ale fotel nie ma też całego lewego boku. Widok złamanej deski sprawia, że drżę, czy za chwilę znowu nie spadnę.

Pani Nela mamrocze, że zaraz coś na to zaradzi. Już pod nosem, bardziej do siebie niż do mnie, mówi, że mam siedzieć i się nie ruszać, a ja mam ochotę wtedy wstać bardziej i zaczynam wiercić się mocniej.

Przez okno widzę jej okno. Roleta jest podwinięta, ale nikogo nie ma w pokoju.

Wiem, że gdy jej nie ma, miga niebieskie światełko na dekoderze z godziną, a na krześle przy białej komodzie jest pusto. Nie ma jej ubrań, stanika, dresu. Nie myślę nawet, co jeszcze mógłbym tam za nią odłożyć. I nigdy bym nie powiedział, że ręce ma, to może sama. Miałbym je wtedy i ja.

Błogosławieństwo,

wykrzykuje pani Nela i odkłada telefon wielkości zaciśniętej pięści.

Załatwiła sąsiada, który za chwilę przyjdzie i pomoże naprawić fotel.

Przenosi mnie jak pęto kiełbas i kładzie na ruszcie, na łóżku bez materaca. Stwierdziła rano, że go przewietrzy, może uda jej się wyprać pokrowiec, a teraz nie zdąży go już założyć, zanim przyjdzie ten sąsiad. Czy mógłbym zatem. Mógłbym.

Leżę.

Już wiem, że się myliłem. Że wszystko, co zrobiłem, było tak złe, że teraz tylko czyściec i zapętlająca się myśl bez mety. Że całe noce nie zasnę, będę marzył o tym, by siedzieć w fotelu i patrzeć, a gdy mi na to pozwolą, będę czuł bóle, będę cierpiał i w końcu umrę.

Bawiłem się ogniem, to teraz się w nocy posikam.

Siedziałem na zimnym kamieniu, to teraz dostanę wilka.

Chciałem zgubić się na mapie jej pleców, to teraz nigdy jej już nie znajdę.

Wsadzam obydwie stopy między deski.

W głowie obmyślam plan kary idealnej, która finalnie mogłaby mnie zgładzić, choć humanitarnie nie będzie wymierzona właśnie w tym celu.

Deska zaczyna wżynać się w wysokie podbicie stóp.

Przychodzi sąsiad, wita się z panią Nelą, zerka na mnie. Widzę, że ma ochotę spojrzeć na tego chorego, o którym wszyscy coś wiedzą, ale nie patrzy. Nie patrzy wcale, przechodzi do fotela. Całą swoją uwagę skupia na czerwonym starociu, który się rozpadł,

a tylko ja dopisuję do tego dramatyczną historię.

Nie wymyślam żadnej kary na teraz. Tchórzę w ostatnim momencie, gdy w głowie gwoździe, strzykawki i stryczki. Gdy lewym uchem wpadają kolejno wszystkie znane mi leki w dawce trzy razy kilka, a prawym wypływają razem z krwią, do której zdążą się dostać po kilkunastu minutach. Nie wiem, jakie leki przyswajam, dba o to pani Nela, więc zaczynam rozważać, czy by jej o to nie prosić. O pożegnanie bez przemów, bez kwiatów i ostatniego posiłku. Nie musiałaby tworzyć mi nawet atmosfery, którą pamiętam z domu, ani parzyć ostatniej herbaty. Wystarczyłaby ostatnia krzyżówka i kończymy współpracę.

Zapomniałbym o małym drobiazgu. Tak na odchodne. Czy mogłaby pani?

Słyszę, jak dzwoni do córki. Mówi, że zepsuł się fotel, że miała już dzwonić i że pieniądze ma naszykowane w portfelu, w torebce. Jak sąsiad pójdzie, to ona zejdzie i da jej pieniądze.

I niech tę lampę przyniesie, tę z dużym kloszem, którą nareszcie zdjęła.

Jak już złapała sąsiada, to spróbuje go o to zagadać.

KRYTYKA

Agnieszka Budnik

Literaturoznawczyni, animatorka literatury, prowadząca spotkań literackich, redaktorka; doktorantka w Zakładzie Poetyki i Krytyki Literackiej Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; absolwentka specjalności przekładowej. W pracy naukowej skupia się na współczesnych nagrodach literackich, literaturze najnowszej, rynku książki i życiu literackim. Opowiada o tym w popularnonaukowym podcaście *Raport z literatury*.

Zaduma i zadufanie, czyli o kryzysie Europy

Czytacie mój tekst w okolicach późnego grudnia lub wczesnego stycznia. Popkultura i tradycje wywiedzione z obrządków religijnych mówią, że to czas bycia z bliskimi, dzielenia się tym, co mamy, skupienia się na relacjach, wciśnięciu hamulca – jakby świat za drzwiami rozgrzanych domów: ach te zapachy, ach te światełka, no i prezenty, rzecz jasna. Na pewno słyszeliście o zwyczaju dodatkowym nakryciu dla przybyszów: tych obcych, potrzebujących, innych.

I tutaj sprawa robi się podchwytliwa. Kto z Was tak naprawdę otworzyłby, po biblijnemu, drzwi do swojego mieszkania? Czy rzeczywiście zaprosilibyśmy osoby potrzebujące do naszego domu? A nawet jeśli tak – czy nie robilibyśmy tego z myślą o dobrym uczynku, własnej nobliwości i zaznaczeniu swojej pozycji aż gorejącej od cnót wszelakich w niezliczonych anegdotach towarzyskich? Czy gość nie jest aby intruzem, ciałem obcym, którego należy się jak najszybciej pozbyć? Czy nie irytuje nas jego wygląd, sposób mówienia i zachowania, a w końcu stan higieny? Jeśli zastanawiacie się, czy na pewno czytacie recenzję, a nie niewygodny tekst moralizatorsko-kaznodziejski, to zapewniam, że jesteście w dobrym miejscu. O skomplikowanej relacji między tym, kto udziela schronienia a tym, kto go rzeczywiście potrzebuje traktuje jedna z najlepszych (tak, tak) książek wydanych w 2022 roku: *Gość* Ariane Koch w przekładzie Zofii Sucharskiej (Wydawnictwo Drzazgi).

O co więc tu chodzi? Bohaterką powieści jest kobieta, o której wiemy stosunkowo niewiele. Możemy właściwie opisać ją w kategoriach bycia, posiadania lub braku: jest w średnim wieku, nie jest w związku, ma ogromny dom w typie dworu, nie ma bliskiego kontaktu z rodzicami. Prawdopodobnie nie ma pracy (bo nie musi jej mieć), a jej ojciec, dziadek i pradziadek stali na czele sekty, co rzuca mimochodem i do czego już nie wraca. Tym, czym dysponuje aż w nadmiarze, są wolne pokoje. Sama zamieszkuje bowiem tylko jeden z dziesiątki. Z porywu serca (choć w toku akcji raczej należałoby mówić co najmniej o nudzie) decyduje się na udzielenie pomocy mężczyźnie w kryzysie bezdomności. Ta pomoc jest jednak obwarowana coraz dłuższym szeregiem założeń. Kobieta tworzy również rozbudowany regulamin, którym powinien kierować się gość. Choć mogłoby się wydawać, że stawianie granic jest dobrym dla obu stron rozwiązaniem, obowiązujące przepisy coraz wyraźniej dehumanizują przybysza. To jednak nie koniec.

Gość Ariane Koch jest powieścią dość podstępną: debiut pisarki jest w początkowych partiach dość nierówny, a do tego zwiastuje raczej niezbyt wciągającą opowieść o samopokrzepieniu klas posiadających kosztem tych, którzy pomocy rzeczywiście potrzebują. Mimo wszystko, choć powieść utrzymana jest w realistycznej konwencji, wkrada się do niej złowroga groteska. W ogólnym rozrachunku książka Koch jest wyjątkowo potrzebną alegorią losów współczesnej Europy. W obliczu kryzysów migracyjnych (wywołanych przecież nie tylko przez czynniki ekonomiczne, ale także polityczne i klimatyczne), autorka stawia przed nami lustro, w którym przeglądamy się dość niechętnie – bo co, jeśli niesiemy pomoc tylko postulatywnie, bo co, jeśli pomagamy nie gościowi, ale własnemu wizerunkowi?

Powieść dość szybko, po początkowym przestoju, nabiera szalonego wręcz tempa. Wstępne partie są poniekąd jak pakt z czytelnikami: spójrz, chcę zrobić dobrze, pomagam, choć czuję się nieswojo, dzielę się własną przestrzenią i uczę się gościa, tak jak on uczy się mnie. Szkopuł tkwi jednak w tym, że hierarchia władzy zostaje utrzymana, a napięcie między gościem i gospodynią przemienia się w Kafkowskie z ducha studium relacji, jeśli nie w eksperyment stanfordzki Zimbardo.

> Sama zaś myślę: Będę pozwalać mu na kontakt z ludźmi tylko w naprawdę wyjątkowych sytuacjach. Posłuży mi za przedmiot naukowego eksperymentu, mój i tylko mój. Muszę go należycie karmić i dać mu do zrozumienia, że jestem jego panią. Sam bowiem nie zauważył nawet, że spod kurtki niczym ogon zwisa mu szalik, który ciągnie się za nim po ziemi.
> (Ariane Koch, *Gość*, Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2022, s. 37.)

To jednak dopiero początek niepokojów i stopniowego, chirurgicznie precyzyjnego odczłowieczania, które „ułatwia" bohaterce fakt, że gość nie mówi w jej języku. Bardzo szybko niesiona pomoc odsłania swoje prawdziwe oblicze: jest konsekwencją znudzenia, rachunkiem obliczonym na zysk bez niemal żadnych strat. Choć na początku gościa chce się nakarmić, napoić, przyodziać i dać schronienie, kaprys bycia współczującą przechodzi w mgnieniu oka. Kobieta przestaje traktować przybysza jako gościa, a nawet przyjaciela: bezbronny mężczyzna szybko zamienia się we wroga, pasożyta, lokaja, zwierzę.

> Gość śpi pod drzwiami.
> Gościowi najlepiej byłoby założyć kaganiec.
> Gościa chce się zagłodzić.

Nie jest też tak, że powieść sili się na jednoznaczną puentę. Wręcz przeciwnie – im mocniej wgryziemy się w narrację, tym mniej lekkostrawnie. Bo co, jeśli właścicielka majątku pewnego dnia sama stanie się gościnią, przybyszką, migrantką? Co, kiedy nie będzie się u siebie? Przeczytajcie – to koniec spoilerów.

Oskar Meller

ur. 1993 w Zgorzelcu) – asystent w Zakładzie Literatury polskiej XX i XXI w. UWr, krytyk literacki. Recenzje, szkice i artykuły publikował m.in. w „Czasopiśmie ZNiO", „Kwartalniku artystycznym", „Literaturze na Świecie", „Nowych Książkach", „Stonerze Polskim" i „Wizjach". Obecnie kończy przygotowywać rozprawę doktorską dotyczącą języka poetyckiego Tomasza Pułki i jego wpływów na dykcje pokoleniowych rówieśników. Interesuje się głównie polską poezją najnowszą, migracjami hebrajskiej składni w poezji diasporycznej oraz reprezentacjami nurtu Bildungsroman w literaturze XIX i XX wieku.

Zeichnungen des Patienten M.B.

W tytułowym numerze z drugiego studyjnego albumu Einstürzende Neubauten – *Zeichnungen des Patienten O.T. / Drawings of Patient O.T.* – Blixa Bargeld przebija się przez postapokaliptyczny wave melodii okładanych kijami śmietników, tłuczonych szkieł i paranoicznie szarpanego basu, wykrzykując formułę: „Ich warte am Rand der Welt auf die neue Sonne" / „Na krańcu świata czekam na nowe słońce" [tłum. – O.M.]. Druga książka poetycka Macieja Bobuli, nagrodzonego Silesiusem za debiutanckie *wsie, animalia, miscellanea*, jest próbą znalezienia języka zdolnego przeprowadzić nas z jednego brzegu na drugi, pożegnać stary i przywitać nowy porządek, zachowując świadomość, że w obliczu wszechobecnej zagłady nagiego życia nawet pojedyncza, nieodnotowana przez zewnętrze i subiektywizowana przez żałobnika śmierć pozostaje znaczącym elementem makrokatastrofy tożsamości. Co sprawiło, że wspomnianą ekipę z zachodniego Berlina do dziś uznajemy za absolutnych pionierów noise industrialu? Z pewnością zdolność do konfrontowania z pasmami eufonicznego hałasu sekwencji melodii sprzężonych z szarpanym rytmem życia w cieniu rzucanym na codzienność przez berliński mur, kominy fabryk przemysłowych, opuszczone magazyny i widmo kapitalistycznego molocha. Podobną pracę wykonuje Bobula w *Pustko*, gdzie porządkująca dykcję, momentami niezwykle Leśmianowska muzyczność mierzy się z prywatnym nieporządkiem, żałobą po śmierci najbliższych, brakiem akceptacji seksualności bohatera ze strony zewnętrza, fantazmatyczną nadrealnością legend opowiadanych do poduszki przez mamę, demonami polskości, społeczną krzywdą, widmem Shoah – „bo myśl, że zagłada, bo kolejny kolega do gleby, / no i smutek, że u innych bieda", a przede wszystkim z dojmującym „niepokojem, że świat to okropień, że rządzi nim okrucień":

Jakim cudem Einstürzende Neubauten wchodzi w panoramę refleksji nad ostatnią premierą wydawnictwa Warstwy? Literki „O" z nazwiska autora i tytułu książki na awersie okładki stały się jednocześnie główkami ludzików uznawanych za logo kapeli, które spotkać możemy na większości okładek ich albumów. To jednak trop raczej przygodny, nie nadający szczególnego wymiaru temu, co znajdziemy w środku *Pustko*. Jednak – jak to zwykle bywa w przypadku wrocławskiego wydawcy – tom staje się artefaktem totalnym również w wymiarze edytorskim, wymagającym lektury ponad poziomem pojedynczych tekstów. Tytuł przywołanego na początku albumu nawiązuje do rysunków Oswalda Tschirtnera, nękanego halucynacjami pacjenta Państwowej Kliniki Psychiatrycznej w miasteczku Gugging nieopodal Wiednia. Jeden z jej pracowników, Leo Navratill, zainspirowany działalnością amerykańskiej psycholożki Karen Machover, wprowadził do diagnostyki na swoim oddziale metodę testów

rysunkowych. Te ujawniły nieprzeciętny talent Tschirtnera w graficznym portretowaniu zjaw nawiedzających go w schizofrenicznych wizjach. W latach osiemdziesiątych szpital został przemianowany na dom artystów, zapewniając pacjentom możliwość dalszego tworzenia i wystawiania swoich prac w krajowych galeriach sztuki. Kilka lat później zmienił się w Art/Brut Centre Gugging – kolebkę austriackiej sztuki wykluczonych. Do najsłynniejszych szkiców tuszem O.T. należą portrety głowonogów, dziwacznych, wykoślawionych postaci pozbawionych rąk i korposów, na których ciała składają się wyłącznie monstrualnie wydłużone nogi i osadzone na nich głowy. Podczas jednej z sesji nagraniowych w Hamburbu Blixa, widząc jak basista ekipy Marc Chung kreśli nieregularną partyturę jednego z numerów, stwierdził, że wykres ten przypomina mu rysunki Tschirtnera.

W warstwie graficznej *Pustko* przybiera formę brudnopisu, szkicownika, pamiętniczka, w którym wierszom towarzyszą prymitywistyczne rysunki długopisem, przypominające styl O.T. Ostatni z wymienionych gatunków zostaje zresztą bezpośrednio przywołany w genialnie skomponowanym wierszu *Tszczyca* z początku tomu, gdzie schizofreniczne rozwarstwienie głosów kaleczy zinfantylizowaną świadomość podmiotu, szepcząc mu na ucho zaklęcia „okropnia" i „okrutnia".

niepokój, że wrócą nie moje głosy we mnie,
jak te tu:
głos 1: nie ma dla ciebie miejsca w życiu,
głos 2: to ja, człowiek słoń, świat był mi koszmarem,
głos 3: *siedzący słoń* hu bo,
ale najgorszy jest głos 4, który w kółko mówi:
ten, ta, ten i ta już zmarli,
i bez nich jest tu głównie smutno;

Remedium na nieznośność bycia, cyjanek za trzy dwieście na darknecie i trójaki w lesie, które kuszą niedoszłego samobójcę, okazuje się autoterapeutyczny spisywanie „bildungsgedichte":

następny głos to głos matki, która powtarzała:
bądź wierny rzeczom dobrym, synu, i pamiętaj o ciemności,
zawsze mam przy sobie pamiętniczek, mamo,
o którym myślę jak o córce, kiedy idę w tany ze smutkiem.

Pacjent O.T. w przestrzeni tytułowej pustki płynnie przechodzi w pacjenta M.B., reanimującego dyskursy dzieciństwa w poszukiwaniu składni zdolnej odczarować nieprzepracowane traumy, a przynajmniej – upłynnić ich przepływ przez zdeformowany portret własny bohatera na tyle, by nie stawały ością w gardle. A czyni to Bobula z pomocą bardzo świetnie ogranych i nieoczywistych patronatów.

Co do tytułu – sam poeta w rozmowach towarzyszących premierze podkreślał, że *Pustko* można odczytać zarówno jako wołacz, jak i przysłówek. Rzecz jasna nawołuje się tu do pustki jako przestrzeni, w której gospodaruje się własną samotność na rzecz „bildungowej" indywiduacji, ekskluzywnego formowania tożsamości poprzez przeglądanie się w językach, czy też – pozostając bliżej rejestrów, którymi dykcja ta nasiąka – języczkach, na których zbudowana jest tak przecież zróżnicowana stylistycznie poetyka tomu. Od baśniowych rejestrów matczynych podań o „wuju lohengrinie, synu parsifala", przez balladowość podsyconą Leśmianowskim neologizowaniem, syntaktyki niemalże eschatologiczne – „zawładnąłeś rybami morza i ptactwem nieba / i wszelkim zwierzęciem ruszającym się na ziemi", po jazzowo-blokowiskową tonację *Wiersza w stylu LKJ i GSH*, który podmiot określa „wierszem białasa, męczeniem buły, neurotyczną farsą". Kolejnym intertekstualnym tropem, zarazem przechwyconym elementy ikonosfery tamtych lat, pozostaje dorysowane na końcu logo Wu Tangu – „gdzie wiersz o tym, co tam u sonny'ego, czy wyszedł już z paki? / nie ma takiego wiersza, ziomblu, i nie będzie". Linton Kwesi Johnson i Gil Scott-Heron obok Einstürzende Neubauten i Napalm Death, Staffowski witalizm przy katastrofizmie w klimatach młodego Miłosza, sentencje i miniatury w sąsiedztwie przepastnych pasaży języka zerwanego ze smyczy formalnych zależności. No właśnie – totalność projektu pamiętniczka przebija z każdego poziomu jego materialnej formy. Pustka okazuje się wyjątkową formą pełni, miejscem tak przezroczystym, że nic, czym chcemy ją wypełnić, nie zaburzy misternej aranżacji. Nieprzypadkowo wśród mott pamiętniczka, obok cytatu z Theloniousa Monka i fragmentu *Del af labyrinten* Inger Christensen, pojawia się sekwencja z *Alby* Philipa Larkina (wraz z sympatyczną karykaturką poety laureata), gościa, który jak nikt przed nim i po nim diagnozował przyrodzoną epitafijność życia świadomego, że z każdym kolejnym porankiem jesteśmy jedynie bliżej permanentnej nocy – „Widzę tam tę, co po prawdzie jest tam zawsze – / Bezwzględną śmierć, o dzień cały bliższą dziś".

Granicznym momentem, w którym uświadamiamy sobie klarowność Larkinowskiego oglądu sprawy, pozostaje rzecz jasna śmierć bliskich, w przypadku pacjenta M.B. – odejście babć Ireny i Marii, którym Bobula dedykuje książkę. Poszukiwanie języczków i melodii, która

mogłaby odwieść nas od zakupu cyjanku za trzy dwieście w tych ponurackich realiach, zdaje się z razu próbą zaklęcia i oswojenia stanu, w którym *ja* obrasta pustką i robi się nam „pustko" wokół, „w tym starym niesprawiedliwym i podległym świecie". Stawką powrotu do optyki dziecięcego doświadczania dojmujących reguł zewnętrzności pozostaje odzyskanie infantylnej naiwności, do której terapeutycznych właściwości, odsłaniających coś, co w językowej świadomości tracimy wraz z dojrzewaniem, przez dekady przekonywała nas Krystyna Miłobędzka. U Bobuli odbywa się to na mocy spieszczeń („okrucień", „okropień", „pustko", „pamiętniczek"), melodyjności, zahaczającej niekiedy o meliczność ludową, a przede wszystkim – totalności, odbijającej się w konstrukcji pamiętniczka, rezonującej z dziecięcym przekonaniem o łączliwości wszechrzeczy.

Co czujnie wychwycił Jakub Sęczyk, przepytując Bobulę na okoliczności *Pustko* we Wrocławskim Domu Literatury – bohater, poprzez sięgnięcie do diariuszowej formuły, wciela się w siebie z lat ubiegłych, siedzącego w szkolnej ławce na lekcji religii, spychającego kiszonkę z wujkiem w kabinie DT-75, płaczącego na seansie *Człowieka słonia*. Metonimią tych podróży zdaje się atrbrutowy ślimak z rewersu okładki. Spiralę tworzącą jego skorupę wieńczy kielich kwiatka, przez co sama skorupa zdaje się jednocześnie łodygą. Kolejne warstwy spirali to niejako etapy, z których Bobula rekonstruuje tożsamość pacjenta M.B., a zarazem piętra rozrostu tejże łodyżki. Każde kolejne stadium rozkwitania wymusza przejęcie wiersza przez inny, zróżnicowany stylistycznie języczek. Od formułek dziecięcych rymowanek, przez rozprawy z widmami polskości inspirowane kwestiami zasłyszanymi i zaczytanymi na lekcjach historii, po bolesne rewizje różnych wymiarów Zagłady – babcinych wspomnień dzieci przymarzających do syberyjskiej ziemi czy klasowych wyjść pod pomnik upamiętniający ofiary mordu.

To kolejny wymiar „bildungsgedichte" Bobuli odpowiadający kanonicznym narzędziom prozy rozwojowej. Z tożsamej techniki synchronizacji korzysta już choćby James Joyce w *Portrecie artysty w wieku młodzieńczym*, gdzie składnia i leksyka rozwijają się wraz kolejnymi stadiami poszerzania językowej świadomości Stefana Dedalusa – fraza dojrzewa wraz z bohaterem. Pamiętniczek otwiera zaklęcie *Szalejów 2*, sporządzone w formie dziecięcej rymowanki powołujące do życia swego rodzaju zmyślonego przyjaciela, nawiązujące zresztą do intro debiutu.

Z błota lepię z gwiazd – szalejów
szyję kar mu z kilku barw
kleję nos mu wargi z larw

oko puste w formie leju

(…)

do mnie powie: hej hej stwórco mówię do ciebie

i wargami z larw szepnie: życie udręka
i zgaśnie po cichu

W końcowej strofie podmiot współodczuwa zespolenie własnej cielesności z fizycznością golema, by ostatecznie uśmiercić go w sobie, niejako przekreślając udrękę, którą ten przepowiada.

a moja w nim krew wciąż bulgocze jak rzeka
i drży moja zwilgła powieka
na kolanach umiera mój bies
skamle udręka
jak pies

W perspektywie autotematycznej można to odczytywać jako odbicie się od szalejowskiej poetyki, która organizowała dykcję tomu *wsie, animalia, miscellanea*, ale także narrację powieści *Szalejów*.

Na poziomie autoterapeutycznej funkcji pamiętniczka – emigrację z rodzinnej wsi uznamy za ukręcenie łba traumom dojrzewania w szalejowskich pejzażach. Jednak i przez ten gest przemawia wyraźna ambiwalencja nastrojów. Z jednej strony wiejskiej przestrzeni przypisuje się, obok mocy napędzania witalistycznych frenezji, zdolność oporu wobec nacierających porządków miejskiej nowoczesności, wiązanej tu głównie z korporacyjnością, molochem i kapitałem. Z drugiej – społeczno-polityczny obraz wsi z lat szkolnych poety dotyka kwestii zaściankowego braku tolerancji wobec wszelkich przejawów odmienności: „kiedy wieś dowiedziała się / że brat wyjeżdża z domu / wieś oznajmiła: zmienił płeć". W jednym z najmocniejszych wierszy *Pustko*, zatytułowanym i dedykowanym *Elce, koleżance z podstawówki, imię zmienione*, M.B. – w majakach sennej projekcji – stara się odczarować tragizm dzieciństwa zmarłej przyjaciółki, sięgając po wrażliwość szkolnego outsidera, świadka rówieśniczego nękania.

w ogóle nic nie znaczy obelga o mojej, twojej nędzy,

nie wypowiedział jej nikt, ona musiała nam się śnić,

i nie jest prawdą, że wychowawca z ciebie drwił na środku klasy,
twoja mama po wsi chodzi pijana – nie powiedział tak wcale

nie uciekłaś wtedy ze szkoły zapłakana i nie bałaś się
do niej wrócić, twoja mama, jak ręką odjął, przestała pić,

policzki twoje nie są tak rozgrzane, jak gdy poszedłem za tobą,
i już nie jest tak, że mówisz, że masz dość za twojego ojca grobem

Nieprzypadkowo Bobula wybiera elegijny dystych, Ela umiera, a jej smutek staje się dla bohatera metonimią „smutku świata", choć wciąż – posiłkując się dziecięcą wiarą w odwrócenie śmierci – temu zaprzecza: „twoje życie jest wesołą historią, ono jest cudowną przygodą". Zamknięcie za sobą furtki rodzinnego podwórka zawsze jest małą wielką katastrofą. Mordowanie biesa w intro zdaje się w tym ujęciu oczyszczającym *auto-da-fé*. Rytm zaś, który napędza ten akt kreacji i dekonstrukcji, gęsto czerpiąc z zasobów składni ludowej meliki, stanowi substytut porządku, którego z rzeczywistości wokół nie jest w stanie wyłuskać podmiot pogrążony w żałobie.

W *Pustko* kryje się znacznie więcej skoków intensywności współrzędnych z napięciami, jakie organizowały melodię debiutu Bobuli. Właściwie każdy cykl pierwszej książki znajduje odbicie w jakiś sekwencjach pamiętniczka. Wraca więc poeta do perspektywy wiejskiej metafizyki, znów próbując utkać z materii ludowej piosenki coś, co oprze się naporowi centrum, zachowując naturalizm szalejowskich pasaży, w tym przypadku sięgając po cykliczność pór roku i katastroficzne zająknięcie świata, w którym zima przechodzi niezauważona: „a wieś z żalu za psami spogląda spode łba / tak kończy się zima niebyła w szalejowie". I *animaliów* znajdziemy w *Pustko* całkiem sporo. Wcześniej były to musze trupy, gołębie z kłodzkiego dworca czy „pepe, smutna żaba, która nic nie mówi, bo martwi się losem Internetu". Tutaj mamy przywołane już psy emigrujące z bud na wiosnę, martwe koty znalezione na ulicy czy jaskółkę wyfruwającą z gniazda na szkolnym parapecie. *Miscellanea* wracają w wariantach testowania różnych form i foremek, remiksowania bliskich poecie tradycji i poetyk, adaptowania stylizacji – pieśni ludowych, menadżerskiej nowomowy przełożonego, eschatologicznych litanii. Przede wszystkim jednak mnogość głosów wynika tu z zagospodarowania miejsca dla cytatów z babcinych opowieści, dziadkowych quasi-lekcji historii, ponurych refleksji ontologa, a nawet ze *Zbioru dziejopisów polskich we czterech*

tomach zawartych Marcina Kromera. Te wszystkie przechwycone i przetworzone frazy pozostają świadectwem opresyjnej, a niekiedy ozdrawiającej ingerencji zewnętrzności we wnętrze bohatera, ale w przestrzeni pamiętniczka są już jego, pacjenta M.B. Z tego wielogłosu bohater odzyskuje swoją podmiotowość, a rytm zdaje się porządkować ową indywiduację w formie wielkiej ballady, z całą przynależną jej algorytmicznością. W tej manierze wyraża się przekonanie, że samo dojrzewanie składa się z interwałów, które wpędzają bohatera w ramy utartych schematów chłopięcego przeżywania *ja*. Stawką odróżnienia od dojmująco zapętlonego tła pozostaje przełamanie tej powtarzalności, oderwanie się od skończoności, a więc od zagarniającej atmosferę książki śmierci: „grawitacja to sposób, w jaki martwi pod spodem / domagają się swoich ziemskich rzeczy z powrotem, / a ja z powrotem wracać już nie chcę". Ale również od form, w które za wszelką cenę chciałaby bohatera wtłoczyć szkolna i szalejowska niechęć wobec tego, co odmienne, osobne, nie do pomyślenia w uporządkowanej pod dyktando wątpliwej moralności mikroświata rodzinnej wsi. Jak choćby w *Transpłciowych zaimkach osobowych*: „dobrze, że pomalowałyśmy paznokcie – myślimy, leżąc. / lewej ręki na czerwono, prawej na zielono. / na tę okazję, / gdy będziecie nas zaczepiali".

Miejsce te wskazują dość jednoznacznie, że poszukiwanie płynności i rytmu jest tutaj bezpiecznikiem, który – gdy *ja* rozpada się na cząsteczki mglistych doświadczeń - pozwala na zespolenie impresji i afektów we w pełni już świadome, totalne, poniekąd synestezyjne obcowanie z różnymi formami utraty i opresji, które naznaczają adolescencję. Harmonia, jaką zdaje się nad tym pobojowiskiem dojrzewania roztaczać miejscami naiwna wręcz melodyjność, miałaby przy okazji zaklinać podłość świata i fakt, że jest nam w nim „pustko", czyniąc go bardziej strawnym. Jak to z cierpieniem, bólem, głodem i niesprawiedliwością propedeutycznie robią baśnie, bajeczki, legendy i wierszyki, których tak wiele mocuje się ze śmiercią w pamiętniczku. A jednak rozbiciu intencji podmiotu, jakie przydarza się pacjentowi M.B. poprzez te repetycje wspomnień, nakładanie masek siebie z lat minionych, moglibyśmy przypisać mocno Czechowiczowską tonację, właściwą także dla Miłosza z rejonów *Trzech zim*. W niej bowiem wyraża się imperatyw katastrofy, jako jedynej siły zdolnej oczyścić obecny porządku, na którego gruzach wykiełkowałyby w końcu nowe formy doświadczania widm zbiorowej i subiektywnej pamięci.

Katastrofizm Bobuli staje się Miłoszowski również przez metodę obserwacji korozji otoczenia. Sięga się tutaj gęsto po lirykę pośrednią, w wyjątkowo muzycznym trybie rozprawiającą nie nad samym centrum katastrofy, a nad wpływem jej opadu na kondycję

peryferii, a także tego, co wydawało się jeszcze przez człowieka nietknięte – ostatnich skansenów dziewiczej przyrody polskiej wsi: „wiosna brzozy i ich sok nie sączy się po szkle słoika / pod nimi ostrożeń mech porasta ciemne wnętrze kamienia / jego pęknięcia są głębokie i mnóstwo w nich żłobień". W wolnym tłumaczeniu nazwa zespołu Blixy Bargelda, który niejako patronuje pamiętniczkowi, brzmiałaby – „zapadanie się nowych budynków". I rzeczywiście – dekonstrukcja sięga tu gmachów, w których podmiot okopał resztki wspomnień. Także nowych, gdyż niezależnie, co wzniesiemy na tamtych fundamentach, obraca się w gruz ze względu na grząskość placu budowy, naznaczonej świadomością krzywdy podstawy, na której formuje się tożsamość pacjenta M.B. Zagłada wydarza się w tomie w dwóch przecinających się perspektywach. Towarzyszymy podmiotowi w ekopoetyckim świadkowaniu masakrze fauny i flory, nawrotom widm katastrofy klimatycznej, które mówiący egzorcyzmuje w *Palą opony psują atmosferę*: „i choć palić chcieli cię ja / palić im cię nie dam // bo / szczątków tu spopieleń / już w chuj jest w cholerę".

No właśnie – spopielenie zdaje się kategorią kluczową, gdy prześledzimy, z jaką częstotliwością Bobula przywołuje motyw całopalenia. Najmocniejszą propozycją z tego rejestru byłby z pewnością *Yolokaust*, gdzie polskie epizody Shoah, tajemnice płonących stodół wypierane z ludowej pamięci, na których poeta opiera krytykę partyjnych rewizji historycznych, zostają zastąpione przez pogromy afrykańskie, skonfrontowane z europocentryczną znieczulicą immunizowaną nam przez wszechwładczy konsumpcjonizm:

perfekcyjną makabrę misiu najlepiej więc sobie wyobrazić w sposób taki –
wziąć milion wagonów wypełnionych milionem maczet ociekających krwią
z puczu w Afryce i rzucić to na tło disneylandu
wszystko w częstotliwości razy sto
na każde wciśnięcie przez białasa słowa kup

Przy okazji więc obrywa się światu za popkulturowe fetyszyzowanie Holocaustu i niezdolność do operowania językiem, który nie infantylizowałby tragedii najczarniejszego projektu nowoczesności. Echem powracają przy tej okazji koncepcje Eliotowskiego korelatu obiektywnego. Zamiast subiektywnego raportu z Zagłady – strumień głosów i zdarzeń z pogranicza, m.in. zasłyszanych opowieści dziadków czy ech lektur podręczników do historii, które obiektywizują nasz zbiorowy współudział w zbrodni wyparcia: „tabele z ludźmi w polsce / – przed wojną, po wojnie – / i coś mi się nie zgadza / w równaniach. / bo mimo przyrostu ludności / maleją mniejszości". Bobula wskazuje, że dopóki w obliczu tej skali

mordu pozostajemy Eliotowskimi *hollow men*, dopóty *ja* nie znajdzie języka, który pozwoliłby z należnym szacunkiem przejść przez żałobę po śmierci anonimowego *ty*.

A zatem naiwne okazuje się przekonanie, że w ramach tak zakrojonej formy podmiot zostaje skazany na grzęźnięcie w konfesjach i zupełnie autonomicznych afektach. Przypadek pacjenta M.B. nie jest odosobniony, wszyscy sypiamy na jednym oddziale, w dodatku zakaźnym. Czy nawiedza nas pandemia polskości, powracającej niczym niezaleczona egzema, a biorąc pod uwagę koncepcję „bildungsgedichte" – raczej szczenięcy trądzik, zostawiający blizny na maskach, które codziennie nakładamy, by wtopić się w to (o)błędogenne środowisko? W fascynujący sposób, w ramach geopoetyckich roztrząsań polsko-niemieckiego dziedzictwa – rodzinnego dla Bobuli – krajobrazu Dolnego Śląska ostatnich dwóch dekad XX w., poeta ekshumuje demony zbiorowej (nie)pamięci: „wchodźcie, wchodźcie. to wszystko jest wasze. / niemiec chyba nie rozumie, bo nie wchodzi". Tak naprawdę jednak wizja polskości, jej miejsc wykluczonych, tożsamościowego piekiełka, niespełnionych snów o husarii i niezaakceptowanej genologii chłopskiej, okazuje się zagarniać porządek nawet najwcześniejszych wspomnień, z których M.B. rekonstruuje autoportret.

We wspomnianej już premierowej rozmowie z Sęczykiem, wśród mnóstwa nieoczywistych tradycji, które zasilają dykcje *Pusto*, Bobula wskazywał na *guilty pleasure*, jakim pozostaje dla niego lektura Jarosława Marka Rymkiewicza. Szczególnie z okresu *Zachodu słońca w Milanówku*. Widać to przede wszystkim w pośredniości relacji z katastrofy, zespoleniu kolejnych etapów rozkładu nowoczesności z cyklicznością pór roku, które odchodząc, uśmiercając część natury, zwiastują zarazem jej odrodzenie. Słychać natomiast w barokowej manierze melodycznej, balansującej pomiędzy litanijnym nadmiarem i neoklasycystyczną wiarą w możliwość uporządkowania świata przyszpilonego w wierszu algorytmiczną melodią. Łatwo wyobrazić sobie, jak wyglądałaby liryka patriotyczna w tym tomie. Zamiast mokrych snów o żołnierzach wyklętych i elegijnych reminiscencji wielkich bitew wybierałaby bolesną konfesję historyczną, w której jedyne bitwy toczymy z własną, rozmytą identyfikacją. Polska jest w *Pustko* jak brudnopis, który zresztą przywołuje koncepcja edytorska tomu. Mocowaliśmy się z różnymi modelami, szkicowaliśmy lepsze rozwiązania, bardziej sprawiedliwsze projekty, ale w końcu skończyły nam się niezapisane jeszcze kartki: „byłem pod narkozą, śniłem polskę przyjazną, / miałem śmierć kliniczną, obudziłem się w trakcie".

Pustko przekonująco wraca do poszukiwań „formy bardziej pojemnej" Miłosza, choć obaj poeci zapatrują się na taką formułę w zgoła odmienny sposób. „Bildungsgedichte" to

działka o tyle grząska, że tego rodzaju totalne przedsięwzięcia niosą za sobą ryzyko niezgrabnego przesytu: styli, tematów, środków, trybów mówienia. Biograficzne tło takiego pisania wymusza subiektywizację „opowieści", a przecież ciążymy ku obiektywności, która miałaby odratowywać materialność wiersza, bez której ten przestaje znaczyć w realiach kulturowej komunikacji. Z tych wszystkich kleszczy Bobula oswobadza się w niezwykle przekonujący sposób. W jednym ze *szkiców* domykających pamiętniczek, skreślonych „na brudno" tuż przed *Podziękowaniami*, czytamy: „piszmy o tym, co w nas jeszcze tkwi – / pustce w miejscu puenty". Roboczy tytuł tej wizji brzmi – *my, biedne dzieci ostatnich dni ludzkości*. W jednym z kawałków z przywoływanej już wielokrotnie płyty inspirowanej rysunkami Oswalda Tschirtnera szpitalne dzieci (*Hospitalistische Kinder*) zostają nawiedzone przez anioła zagłady (*Engel der Vernichtung*). Nie ma wątpliwości, że w ramach tej totalnie zakrojonej lirycznej narracji mamy okazję rozpoznać u siebie objawy tożsame z autodiagnozami pacjenta M.B. A przecież i na tym powinno zależeć wierszom świetnym, na zdolności do płynnego przechodzenia od pamiętniczkowej tonacji w stronę struktury niemalże lustrzanej. Zdarzają się w poetyckiej polszczyźnie ostatnich lat książki bardzo dobre, zdarzają się i genialne. Niezależnie z której strony spojrzymy na *Pustko*, będziemy zmuszeni wpisać ją w któryś z tych dwóch zbiorów.

ROZMOWY NA STRONIE

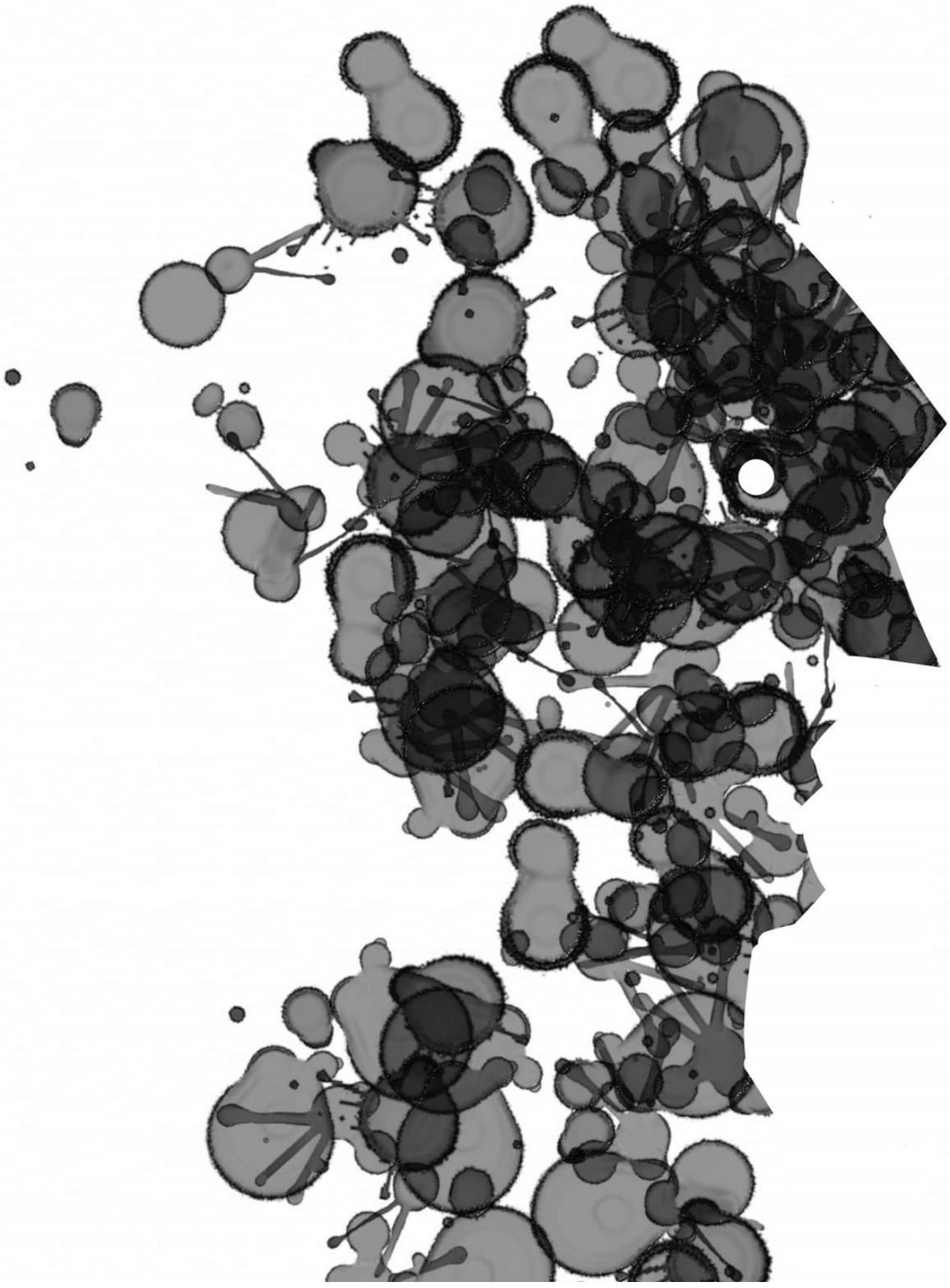

Bonus od redakcji: Czynne podsumowanie 2022 roku

Kamil Galus: Rok 2022 uznaję za literacko *niezły*, choć ciężko wyłonić mi tych "naj". Ze swojej strony chciałbym wyróżnić: Jakuba Sęczyka za *Święta pracy*, Kamila Kawalca za *Wieżę gabba*, Martę Szumną-Mitek za *Nagrody pocieszenia*, Agatę Puwalską za *Paranoię Bebop*, oraz Pawła Harlendera za *Nielegalne kopie*. Bonus track za 2021 wędruje do Wojciecha Kopcia za *przyjmę/oddam/wymienię*. Na koniec zostawiam *Polowanie* Grzegorza Wróblewskiego, czyli jego *visual poetry* wydane prez warszawskie Convivo. Mimo, że prawdopodobnie niewiele z intencji poety wyłapałem, to bawiłem się wyśmienicie i uznaję to polowanie na sens za najważniejsze.

Patrycja Sikora: To był trudny rok, ale taki, który pozwalał na szaber czasu, żeby uciec w książki. Masz, bierz. Mocna dyszka, której kolejność nie ma nic wspólnego z mocą rekomendacji. Enjoy!

1. „Migot. Z krańca Grenlandii", Ilona Wiśniewska, wyd. Czarne
2. „Dolina Kwiatów", Niviaq Korneliussen, przeł. Agata Lubowicka, wyd. Czarne
3. „Drobiazgi takie jak te", Claire Keegan, przeł. Krzysztof Cieślik, wyd. Czarne
4. „Strefa mroku", Nona Fernández, przeł. Agata Ostrowska, wyd ArtRage
5. „Lata", Annie Ernaux, przeł. Magdalena Budzińska i Krzysztof Jarosz, wyd. Czarne
6. „Ośli brzuch", Andrea Abreu, przeł. Agata Ostrowska, wyd. ArtRage
7. „Szczodrość syreny", Denis Johnson, przeł. Krzysztof Majer, wyd. Karakter
8. „Upamiętnienie", Bryan Washington, przeł. Maciej Świerkocki, wyd. Cyranka
9. „Trash story", Mateusz Górniak, wyd. Ha!art
10. „Banitka", Anna North, przeł. Olga Dziedzic, wyd. Cyranka

Natalka Suszczyńska: W moim sercu ten rok należał do Państwowego Instytutu Wydawniczego. Po pierwsze: Kochanka Wittgensteina Davida Marksona w tłumaczeniu Krzysztofa Majera (a tak przy okazji, kiedy słyszę historie o tych książkach odrzuconych rekordową ilość razy – 36, 42, 52, 78 – to sobie myślę przede wszystkim, że w Stanach musi być strasznie dużo wydawnictw). Po drugie: wyczekane Gniazdko dudków Johna Ashbery'ego i Jamesa Schuylera w przekładzie Andrzeja Sosnowskiego i Tadeusza Pióry; 15 lat pisania i 25 lat przekładania (choć akurat ze Schuylera prozą zdecydowanie wolę *Co na kolację?* i *Alfreda i Ginewrę*). Po trzecie: wspaniała i przezabawna Ivy Compton-Burnett z książką *Służący i służąca* (przełożył Marcin Szuster). Jeśli nie mieliście jeszcze okazji zapoznać się

z powieściami Compron-Burnett, to błagam, zróbcie sobie te przyjemność. A skoro P.I.W., to i John Barth z wznowionym w tym roku *Opowiadać dalej* (tłum. Maciej Świerkocki). Po to drugi raz wprawdzie nie sięgałam, ale dawno, dawno temu zaczytywałam się w rzeczach Bartha i należał on do czołówki moich ulubionych autorów, dlatego cieszy mnie ten drobny renesansik i mam nadzieję, że będzie wstępem do wydania innych jego książek, których dotychczas nie było po polsku. Dobrze, to tyle o Państwowym Instytucie Wydawniczym, jedziemy dalej.

W tym roku trochę posiedziałam w Bratysławie, co było dobrym pretekstem do poczytania słowackiej literatury, która powoli się u nas ukazuje w większej ilości, no i fajnie. Warto zwrócić uwagę na dwie słowackie książki wydane przez Ha!art, czyli *Ruską klasykę* Daniela Majlinga przepisaną przez Weronikę Gogolę oraz *Czepiec* Kataríny Kucbelovej w tłumaczeniu Katarzyny Dudzic-Grabińskiej. Nie chce mi się raczej powtarzać tytułów, które wypływają teraz w co drugim podsumowaniu i rankingu, więc stanowczo polecę W domu snów Carmen Marii Machado (tłum. Łukasz Błaszczyk), jako że uważam tę książkę za kryminalnie przeoczoną (z drugiej strony nie wiem, w jaki sposób miałoby wyglądać nieprzeoczenie, ale to temat na inną dyskusję, być może zupełnie bezsensowną i raczej przygnębiającą). Formalnie jest to memuar, czy jak to się przyjęło mówić w tym roku: autofikcja, temat: przemoc w lesbijskim związku, a wykonanie: na medal. Machado jest jedną z najbardziej inspirujących mnie autorek, a W domu snów czytałam już dwa razy i pewnie jeszcze ze dwa przeczytam. Co do czytania dwa razy, to w sumie było to moje postanowienie noworoczne, chciałam częściej wracać do książek, które już czytałam i mi się podobały, ale oczywiście nowości znów wzięły górę i jak zwykle wyprowadziły mnie na manowce, więc jeśli mam jakiś czytelniczy morał z tego roku, to pewnie taki, żeby się nie rzucać bezmyślnie na każdą nówkę, bo to bez sensu, można sobie spokojnie poczekać dwa, trzy miesiące i nic się od tego nie stanie. Ale może ta nauka jest ważniejsza dla mnie samej niż dla innych.

A może coś z takich rzeczy do czytania, co się wkręcają pięknie i serio można się w nich zaczytać bez zerkania w telefon? Mam na myśli *Zagranych na śmierć* Tomasza Lady. Nie jest to powieść, tylko historia mówiona, więc jeśli spodobało się wam *Please kill me* Legsa McNeila i Gillian McKain, to możecie sobie sprawdzić, jak taka opowieść wygląda na naszym gruncie, nawet jeśli dawna polska alternatywa nie jest soundtrackiem waszego życia i nie macie pojęcia, kim byli Rołt, Skandal i Sadek. Wiem, co mówię, bo moim raczej nie jest i średnio wiedziałam, co nie przeszkodziło mi w czerpaniu tak zwanej przyjemności z lektury.

Na koniec książka, której nie doczytałam, ale i tak polecę, czyli *Historia Opal*. Pamiętnik rozumiejącego serca Opal Whiteley w tłumaczeniu Filipa Łobodzińskiego. Pod tym podejrzanym tytułem i nie wzbudzającą zaufania okładką kryją się zapiski kilkuletniej dziewczynki pochodzące z początku XX wieku – to jedna z wersji, bo jest też druga, mówiąca, że cały ten pamiętnik został sfingowany przez dorosłą już Opal. Jak było naprawdę – to chyba mało ważne, ważniejszy jest fakt, że te historyjki świetnie sprawdzają się do czytania przed snem, no miód na serce. Takie zastosowanie tej książki zalecam, wyjaśniając też jednocześnie, dlaczego wciąż jej nie przeczytałam do końca.

Piotr Borkowicz: Moim zdaniem należy koniecznie wyróżnić Anouka Hermana i jego *Right into pod tramwaj* coś mi się wydaje, że ta książka zdąży jeszcze namieszać. Z całą pewnością był to jeden z ważniejszych debiutów tego roku i czekam z niecierpliwością na dalszy rozwój wypadków. Pozostając w temacie premier, nie wolno zapominać o Marlenie Niemiec i jej książce *Cierpkie*, która też była przeze mnie wyczekiwana. Kontynuując moje polecajki z serii „młodzi, zdolni" to nie mógłbym pominąć *Streszczenia pieśni* Julka Rosińskiego, które również stanowi znaczący punkt na mapie literackich debiutów 2022.

Przechodząc do prozy, chciałbym wyróżnić Katarzynę Szaulińską i jej tom opowiadań *Czarna ręka, zsiadłe mleko*. Nie powiem niczego nowego, ale jeśli chodzi o literackie rozczarowania to na pewno mogę wymienić *Oto ciało moje* Aleksandry Pakieli. Natomiast porzucając nowości to całkowicie pochłonęła mnie lektura *Świata w płomieniach* Siri Hustvedt.

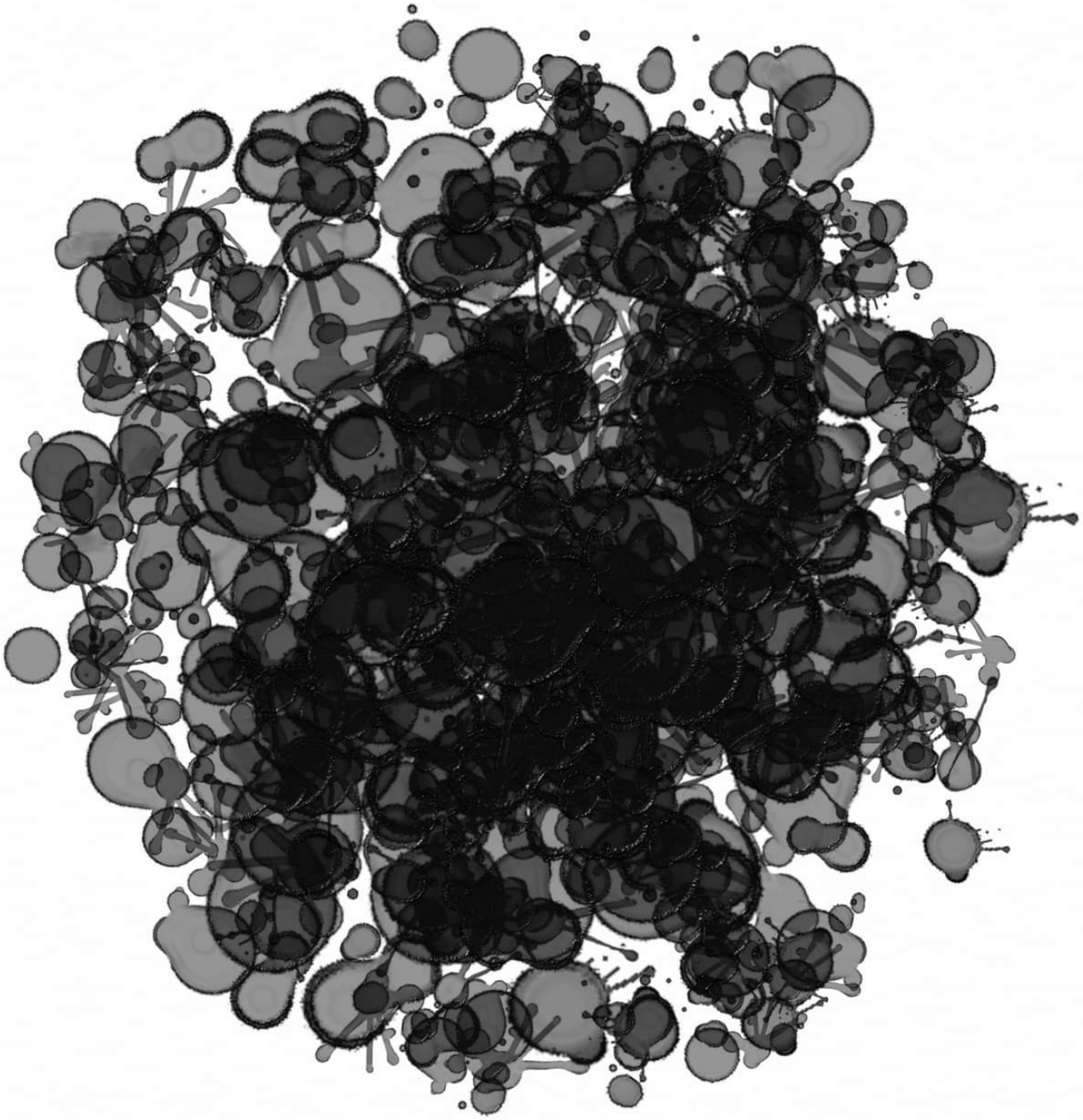

STRONA WOLNA

Natalia Piwek

ma 22 lata, studiuje dziennikarstwo na Uniwersytecie Wrocławskim. W wolnych chwilach przygląda się ludzkim światkom i mikroświatkom. Wychodzi z założenia, że do każdej historii należy podejść z odpowiednią dozą czułości.

Eden do dwudziestej pierwszej w dni robocze

Nikt nie pojawia się bez przyczyny. Niektórzy mają zapisane w genach, żeby po czterdziestce się stoczyć. Pracują po dziesięć godzin dziennie, by dać dzieciakom wszystko, co najlepsze, próbują nie skończyć jak swój ojciec. Gen pijactwa jak ma z ciebie wyjść, to i tak wyjdzie. Innym się w dorosłości nie powiodło, bo żona zła i nie kocha, i z dzieciakami do teściowej uciekła. Wszystkie drogi prowadzą na Wrocławską, a jak już raz poprosisz o setkę żytniówki, to do śmierci usranej będziesz tę żytniówkę pić. Nie my pierwsi, nie ostatni. Przesuń się, młoda i powiedz pani za ladą, że Architekt pyta, kiedy setki czerwone dojadą.

Ogród rozkoszy

Stara żeliwna kłódka zawieszona między wyżartymi przez korniki sztachetami. Klucze do niej ma tylko sprzedawczyni na zmianie, ale to bez znaczenia, bo żadna nie potrafi otworzyć zardzewiałej furtki. Zazwyczaj ogródek otwierają klienci, kręcą się już od szóstej. Pierwsze, co rzuca się w oczy po wejściu, to dwie drewniane ławki ustawione równolegle do siebie. Pomiędzy nimi nieproporcjonalnie mały plastikowy stolik z przekrzywioną nóżką, na blacie popielnica z grafiką czarnego konia.

Eden jest podobny do tysięcy innych ogródków monopolowych. Nie tylko tutaj pod koniec dnia stoły zdobią mozaiki z kapsli po piwie, nie tylko tutaj zdarza się wdepnąć w szkło rozbitych butelek. Pewnie w wielu innych monopolowych klienci też przeklinają drożejące papierosy i pamiętają o imieninach ekspedientek. Tak działają osiedlaki. Te same twarze, stała lista zakupów i różne powody, dla których przesiadują od rana do wieczora na ławkach z drzazgami pod sklepem.

Bar pod Aniołem

Siedemnastego listopada Adam w świętuje w Edenie urodziny. Nie chwali się które, podobno z szóstką z przodu. Stawia litr żytniej i wiśniową bombonierkę. Dotychczas piło się z gwinta, teraz wziął z domu kolorowe kieliszki przywiezione z Bieszczad. Jak był trochę młodszy, to lubił podróżować. Jeździli z żoną po Polsce i spali w namiocie. Później Marlena odeszła. Nic osobistego, przestało im się układać. Nie mają kontaktu. Dzieciaków też mu los oszczędził. Adam mówi, że to dobrze, bo ręki do tacierzyństwa nie ma i tylko by się niepotrzebnie wkurwiał, a serce ma słabe. Nie rozumie młodych, bo są trudni i komplikują sobie życie. Raz

powiedział do Filipa z ogródka, że współczuje mu rodziny, bo jak żonka zadzwoni, że bękart wyje, to od razu musi wracać. Nie to co Adam, sam przed siebie. W ogródku mówią na niego Architekt. Skończył architekturę w Poznaniu lata temu. Przy każdej okazji z zapałem opowiada o gotyckich sklepieniach. Nigdy nie pracował w zawodzie. Pojedyncze zlecenia na budowie, lata na magazynie, bycie ochroniarzem na festynach. Teraz dostaje skromną emeryturę. Nie narzeka na pieniądze, utrzymuje tylko siebie, a dom ma w spadku po mamie.

W centrum była kiedyś apteka "Pod Aniołem". Nie istnieje od jakichś dziesięciu lat, ale poszarzała figura anioła z rozłożonymi rękoma dalej szpeci kamienicę. Architekt mówi, że otworzy tam bar. Ma swój projekt: neon z aniołem, przeszklona palarnia, zielony piec kaflowy, żeby było domowo. Włodzio Piekarz z Edenu śmieje się kiedy Adam opowiada o planach. "Nie słuchajcie go, tej, on odkąd tu przyłazi, gada, że niedługo się otworzy!". Architekt zwiesza wzrok i wypija kieliszek, a edenowi goście zaczynają śpiewać "Sto lat".

Adam pije codziennie od kilku lat. O dziesiątej rano kupuje setkę żytniówki, o piętnastej wiśniówkę, wieczorem znowu żytniowa. Czasami przyjeżdża po niego taksówka, czasami wraca o własnych nogach. Poza sklepem nie pije. "Gałgany z Edenu" doprowadzają go do szału, ale ma tylko ich. W lepsze dni nie pali więcej niż dwa papierosy, w gorsze wypala całą paczkę czerwonych setek. W portfelu ma zdjęcie byłej żony, żeby jej zimny wzrok ganił go jak wydaje za dużo na wódkę.

Piekarz

Od Piekarza żona odeszła trzy lata temu. Znalazła sobie innego, ma na imię Krzysiek i pracuje w barze niedaleko. Dzieciaki też zabrała, ojciec nie widuje ich za często. Ma siedemnastoletnią córkę Wiktorię i dziesięcioletniego syna Michała, który w tym roku idzie do komunii. Włodek Piekarz ma jeszcze sporo życia przed sobą, ale czuje się stary. Popadł w dół po tym jak został sam. Nie zasypia bez hydroksyzyny. Mieszka z dziadkiem, załamanym po śmierci żony. Mieliby w tym roku pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Piekarz musi pilnować, żeby dziadek Wiesio nie oszalał. Kupuje mu mnóstwo włóczki, by stary dziergał skarpety i odreagowywał stres.

Do Edenu przychodzi dwa razy dziennie. O 5:30 podjeżdża dostawczakiem i rozpakowuje cztery koszyki pieczywa. Nie zajmuje to więcej niż godzinę, więc wraca do domu się przespać. Po południu kupuje kilka piw i przesiaduje w ogródku. Nie upija się do nieprzytomności,

zależy mu przede wszystkim na towarzystwie. Lubi przebywać wśród ludzi, cieszy się, kiedy może pomóc i sięgnąć coś z najwyższej półki dla ekspedientki albo przenieść ciężki karton. Czasami nogi mimowolnie prowadzą go do baru, gdzie pracuje nowy facet jego byłej. Popijając drinka, zastanawia się, w czym jest gorszy. A jak przesadzi z alkoholem, to jak na złość ten cholerny Krzysiek nie obija mu twarzy ani nie gada z wyższością, tylko bierze Władka pod ramię i odprowadza do domu. Piekarz zwierza się, że raz jak dziecko płakał w ramię Krzysztofa. Strasznie mu źle z tego powodu i w ogóle głupio mu, że tam chodzi, ale jeszcze sobie z tym nie poradził. I nie wie jak, bo na drutach robić nie umie.

Wszystko dla rodziny

Filip miał osiemnaście lat jak Agata zaszła w ciążę. Chciał zrobić technika w zawodówce, ale rzucił szkołę i zaczął szukać roboty. Rodzice dziewczyny go nie lubili, bo niby przez niego zaczęła imprezować, ale kto nie pije w liceum? Jak się dowiedzieli, że córka zaciążyła, to ojciec Agaty obił Filipowi twarz. Młodzi się zaręczyli i szybko zaplanowali ślub, żeby nie było podejrzeń, bo rodzina Guni jest bardzo religijna. Ze strony Filipa kłopotu nie było, matka nie żyje, a ojciec uciekł za granicę. Sytuacja była stabilna, dopóki ojciec Agaty się nie zbuntował i nie odciął córki od finansów. Nawet po ślubie nie zaakceptował zięcia.

Jak opowiada o początkach z narkotykami, łamie mu się głos. Mówi, że nigdy tego nie chciał, ale dla Guni i synka Karola musiał. Chciał posłać małego do przedszkola w czystych, nowych ubraniach, żeby miał prezenty pod choinkę jak każde dziecko i żeby Agatka nie była smutna. Ale płakała i tak, jak dowiedziała się, że Filip handluje. Przez trzy lata w tym siedział. Źle to wspomina. Nocne telefony, strach przed policją, błagania żony, żeby przestał. Chciałby cofnąć czas.

Dzisiaj Filip ma dwadzieścia pięć lat. Mieszka z żoną i synkiem Karolem naprzeciwko Edenu. Nie ma nic wspólnego z dilowaniem, Jak przychodzi na setkę do ogródka, Architekt prosi go, żeby załatwił trochę tej marihuany, to by spróbowali wszyscy. Filip się wtedy denerwuje, grozi, że pójdzie do domu i znajdzie sobie innych kumpli do picia. Ciągle się boi. Zdradza, że pewnego dnia i tak będzie musiał wyjechać, bo ktoś go na pewno wsypie. Póki co pracuje na hali przy maszynach CNC. I jakoś to idzie. Tylko z tego strachu coraz więcej pije, ale obiecuje się poprawić.

Dwudziesta pierwsza

Podejdź no, młoda, to ci bombonierkę od Architekta podam. Sam chciał dać, ale się źle poczuł, taksówką do domu pojechał. Raz w roku się urodziny ma. W takim wieku i tak ma tęgi łeb, chociaż chuchrem to on nie jest. Fajnie, że się tu mamy nawzajem. Po co sami mamy siedzieć w domach przed telewizorem. Szkoda, że Filip wyjeżdża w styczniu, ale co poradzisz. Opijemy jego nowy start, może i go w tej Norwegii kiedyś odwiedzimy. Architekt to by prędzej na zawał zszedł niż samolotem gdzieś poleciał, ale zobaczymy. Jutro o szóstej przywiozę bułki.

Błażej Tomaszewski

Pisywał tu i ówdzie. Tu i ówdzie też bywał. Mieszka w Toruniu.

o rzeczach ostatecznych

wiarę w koniec świata
ułożyłem z kapitulacji
tak układa się haiku
albo gwiazdę śmierci
matka nie pozwalała zapomnieć
powtarzała mantrę mnąc ścierkę
grom oczekiwany jak święto
codziennie sprawdzam
w ilu stopniach tnie się białko
codziennie sprawdzam temperaturę

problem karmy leży w częstotliwości

lepiej zgubić niż znaleźć
w nerwach obmacać kieszenie
zauważyć że nie ma a było
postronnie uczestniczyć w życiu
oczekiwanym jako swoje
poprosić o szluga i zapalniczkę
bo do palenia jest tylko ryj
znieść w pokorze rozwarstwienie
chociaż wymiar jeden i w bezruchu
lepiej zgubić

spirometria

ile ślimaka w człowieku?
skąd wyglądasz
gdzie łeb?
szmery w klatce widzę przez wizjer
syn koleżanki twojej starej na dachu
na sygnał czeka
żeby kogoś odjebać